



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



LEW SŁAWIN

OSTATNIE
DNI



WYDAWNICTWO GŁÓWNEGO ZARZĄDU POLIT.-WYCH. W.P.



LEW SŁAWIN

**OSTATNIE
DNI**



WYDAWNICTWO GŁÓWNEGO ZARZĄDU POLIT.-WYCH. W.P.

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA

LEW SŁAWIN

**OSTATNIE DNI
FASZYSTOWSKIEGO IMPERIUM**

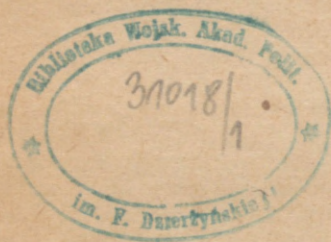
PRZEŁOŻYŁA WANDA ODOLSKA

*

Nr 38

1946

WYDAWNICTWO GŁ. ZARZĄDU POLITYCZNO-WYCHOWAWCZEGO W.P.



I. BERLIN OD WEWNĄTRZ

1.

Śmierć faszystowskiego imperium pozbawiona jest wielkości. Tragik nie znajdzie tu tematu. Nie ma w niej nic wzniosłego. To nie tragedia, to krwawa histeria. Hitlerowskie Niemcy umarły tak jak żyły, w fałszu, w kłamstwie i w brudzie.

Los mi sprzyjał. Spędziwszy cztery lata na wojnie, zobaczyłem koniec jej w Berlinie. Obserwacje osobiste, przesłuchiwanie i inne materiały pozwoliły mi na przedstawienie pewnego obrazu przedśmiertnych minut faszystowskiego reżimu. Opowiem tu o ośmiu ostatnich dniach hitlerowskiego Berlina.

Co działo się wewnątrz niemieckiej stolicy wtedy, gdy walki toczyły się w bezpośrednim pobliżu?

Berlin podzielony był na osiem części obronnych. Dziewiąta znajdowała się w centrum. Nazywała się „Cytadela“.

Niemcy uważali, że jest nie do zdobycia. Był to mózg faszystowskiego Berlina: dzielnica gmachów rządowych i park Tiergarten.

Każdy odcinek był broniący przez garnizon, liczący około 24.000 ludzi. Dowódcy ich byli wybierani osobiście przez Hitlera spośród oficerów, do których miał specjalne zaufanie. Na przykład odcinkiem „A“ dowodził niejaki Fenger, ulubieniec Hitlera, awansowany z prostego żołnierza na podpułkownika — bojowe zasługi nie grały tu roli. Ponieważ okazało się jednak, że dla obrony Berlina nie wystarczą same dowody wierności, że potrzebne jest także i doświadczenie bojowe — komendantem obrony Berlina w ostatnich dniach mianowany został człowiek, daleki od hitlerowskiego środowiska — generał artylerii Weitling.

Należy powiedzieć, że doświadczenie bojowe generała na Wschodnim Froncie było nieco jednostronne, chociaż, ogólnie biorąc, Helmut Weitling był starym bojowym oficerem. Podczas pierwszej wojny światowej dowodził sterowcem „Zeppelin“.

W 1939 roku, w wojnie z Polską, był dowódcą artyleryjskiego pułku. W kampanii francuskiej 1940 roku — dowódcą artylerii korpusu armii. Brał udział w walkach na Bałkanach.

A co do Wschodniego Frontu, to właśnie on w 1941—1942 r. odstępował spod Moskwy. W 1943 roku, dowodząc dywizją, cofał się z Kurskiego łuku. W 1944 roku, dowodząc 9-ą armią, uciekał spod Bobrujska, porzuciwszy w kotłach swoje rozgromione wojska. W 1945 roku, zdegradowany do stopnia komendanta korpusu, wycofywał się z Prus Wschodnich. Później, w kwietniu, wraz ze swoim korpusem odstępował od Odry, gdzie właściwie rozpoczął się wielki bój o Berlin. I, w końcu, Weitling — ostatni obrońca stolicy.

Z racji swego nowego stanowiska generał Weitling codziennie bywał ze sprawozdaniem u Hitlera i jego ministrów. Każdego wieczora schodził do komfortowego, wielopiętrowego schronu pod Nową Kancelarią Rzeszy, skąd faszystowscy wodzireje usiłowali rządzić faktycznie już nieistniejącym państwem. Jaki kontrast! Jeszcze niedawno należała do nich Europa. Teraz w ich władzy pozostało kilka piwnic, otoczonych płonącymi ruinami Berlina. Na podstawie słów Weitlinga można było odnieść wrażenie, że i w tej myszolapce Hitler w dalszym ciągu ulegał manii wielkości i gadulstwu. Nie zaprzestał wydawać rozkazów, których nie miał już kto wypełniać. Królował w próżniowej przestrzeni.

Weitling — wysoki blondyn, starzec o wyprężonej postawie, charakterystycznej dla wielu Niemców. Nawet w najbardziej dramatycznych momentach tej historii Weitling mało ożywia się i mówi stale tym samym monotoniście uroczystym głosem. Poza tym — wykazał trochę więcej zdrowego sensu, niż inni, pojawiający się 2-go maja, że w jego sytuacji najrozsądniej jest poddać się do niewoli.

Z tym większą ciekawością zapoznawałem się z zeznaniami gen. Weitlinga, jako że 2-go maja znajdowałem się akurat w miejscu rozgrywających się wypadków — w Nowej Kancelarii Rzeszy, tylko co opanowanej przez nasze oddziały. Nawet poprzez świeże ślady walki wyraźnie widziało się rozmaite oznaki chaosu, jaki panował wśród obrońców tej najwyższej rządowej instytucji Niemiec. Nieoczekiwane zastosowanie znalazła osobista biblioteka Hitlera. Zostały nią zabarykadowane szerokie okna Kancelarii Rzeszy. Na książkach ekslibrysy Hitlera i dedykacje „führerowi” od autorów. Wszędzie poniewierały się rozszarpane granatami egzemplarze „Mein Kampf”. Sądząc z ich ilości, ulubionym autorem Hitlera był Hitler.

Obok Kancelarii, w dokładnie zrytym pociskami ogrodzie, w którym zachowały się miejscami kwitnące krzaki bzu, leżały

trupy samobójców — pracowników sztabowych, esesowców i gestapowców. Tak też i nazywali ten ogród: „Ogród samobójców“.

Kariera przyszła do generała Weitlinga zbyt późno. Został on mianowany dowódcą obrony Berlina 24 kwietnia, to znaczy na osiem dni przed upadkiem Berlina. Przyjął tę nominację, jak się sam wyraził, niechętnie. Nie tylko dlatego, że dobrze znał zmienne usposobienie zakochanego w sobie tyrana, nie tylko dlatego, że nominacja dokonała się, można powiedzieć, na drodze panicznego poszukiwania „wiernych ludzi“, ale przede wszystkim dlatego, że jako stary wytrawny żołnierz, Weitling rozumiał, że sytuacja Berlina jest beznadziejna.

Jednak nie odważył się odmówić. Wiedział, że Hitler rozprawa się szybko. Dobrze pamiętał, jak przed rokiem Hitler kazał rozstrzelać go za klęskę 9-ej armii pod Bobrujskiem. Rozstrzeliwano i za mniejsze przewinienia, zwłaszcza w ostatnich czasach. Niekiedy za różniące się od zdania Hitlera poglądy w dziedzinie wojennej taktyki. Inni wzięci do niewoli generałowie opowiadali:

— Dopóki niemiecka armia zwyciężała, Hitler te zwycięstwa przypisywał sobie. Gdy niemiecka armia zaczęła ponosić porażki, Hitler przypisywał te porażki generałom. Tymczasem — co myśmy mogli zrobić? Hitler zagarnawszy w swoje ręce najwyższą władzę wojenną, paraliżował działania armii. Dowódca armii nie mógł przesunąć nawet batalionu z jednego odcinka na drugi bez osobistego pozwolenia Hitlera...

Niebawem Hitler cofnął rozkaz rozstrzelania gen. Weitlinga. Tym niemniej, niepostrzeżenie dla samego generała, słowo „rozstrzelanie“ wciąż powtarza się w jego opowiadaniu. Najwidoczniej widmo rozstrzelania nieustannie unosiło się nad otoczeniem Hitlera. Oprawcy byli stale pod ręką: esesowcy z oddziału osobistej ochrony Hitlera.

2.

Udało mi się zobaczyć tych bandytów tego samego pamiętnego dnia 2-go maja. Szukałem wejścia do sławetnego podziemia, gdzie przez całą wojnę chroniła się hitlerowska śmietanka. Wiedziałem, że można dostać się tam z Nowej Kancelarii Rzeszy schodami i przy pomocy windy. Jednakże, gdy zbliżyłem się do tego przejścia, już go nie znalazłem: poprzedniego dnia zostało rozwalone przez nasze pociski. Berlińczycy pokazali mi inne wejście — bezpośrednio z ulicy.

Należy zaznaczyć, że nie brakowało chętnych przewodników. Natychmiast po kapitulacji Berlina, gdy tylko ucihła strzelanina,

mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice. Do chwili kapitulacji w Berlinie przebywało przypuszczalnie około dwóch milionów ludzi. Zmiotkami i łopatami w rękach berlińczycy zabrali się do usuwania z ulic gruzu i cegieł. Nosili wodę ze zbiorników, lawirując między padającymi zewsząd płonącymi głowniami. Sprawnie grabili na pół rozwalone sklepy. Robili to z takimi obojętnymi, rzeczowymi minami, jak gdyby nie zaszło nic szczególnego, jak gdyby nie rozegrało się tylko co na ich oczach potężne historyczne wydarzenie: padła ich stolica, runęło ich państwo. Co to jest: znieczulenie? znużenie? obojętność? pragnienie spokoju?...

Kierując się wskazówkami berlińczyków, poszedłem na Wilhelmstrasse i, minawszy z lewej strony siedzibę Nowej Kancelarii Rzeszy, znalazłem się przed wejściem do sławnego podziemnego schronu. Wejście zasłaniała olbrzymia płyta pancerna. Teraz była ona uniesiona, co pozwalało dostać się w dół. Podczas nalotów specjalny mechanizm opuszczał tę płytę.

Krętymi schodami zszedłem do schronu. Ukazał się długi korytarz, wyłożony kaflami. Żalany był jaskrawym światłem, z kranów w ścianach ciekła woda. Dziwne wrażenie — elektryczność i woda w zrujnowanym Berlinie. Ten ogromny schron obsługiwany był przez własną elektrownię, wodociąg, radiostację. Wszystko to zachowało się w porządku.

Wzdłuż całego korytarza, wszędzie, poza wąskim przejściem pośrodku, na narach, na łózkach i wprost na ziemi leżeli ranni esesowcy, osobista straż osoby Hitlera. Patrzyli spode łba na przechodzących obok nich oficerów radzieckich. Wielodniowy zarost spotęgował wyraz okrucieństwa w ich twarzach. Nie zdarzyło mi się widzieć dotychczas liczniejszej kolekcji odrażających fizjognomij. Był tu szpital dla strażników Hitlera, ranionych podczas walk o Nową Kancelarię Rzeszy. Niektórzy ranni jęczeli. Przyznają, że nie było mi ich żal. Po korytarzu kręcili się niemieccy lekarze — jeńcy i siostry z opatrunkami i lekarstwami. Wielu esesowców uciekło na niższe piętra schronu i nasi żołnierze przedostawali się w głąb podziemi, żeby ich stamtąd wyciągnąć. Esesowców lękali się niemieccy generałowie, ale nie rosyjscy żołnierze.

Tu był już nasz posterunek. Dowodził nim kapitan z Komen-dantury. Zaprosił mnie do swego gabinetu, który jeszcze dziś z rana był jednym z gabinetów Goebbelsa.

— Chcecie wina?

Spojrzał przy tym na mnie tak znacząco, że zapytałem:

— Jakieś osobliwe wino?

— Osobliwe to, że będzie go podawał służący Hitlera. Przecież została tu cała jego służba.

Rzeczywiście, po kilku minutach chudy starzec w niechlujnym smokingu nalewał nam obrzydliwy niemiecki vermouth. Na twarzy jego zastygła maska zawodowej niemiecko-lokajskiej uniżoności.

Powiedziałem kapitanowi, że chcę przejść się po szpitalu i porozmawiać z esesowcami.

— Nie radzę. Widzieliście: jest ich tu kilkaset. A u mnie — kapitan nachylił się do mnie i szepnął poufnie — sześciu żołnierzy. Stuknie was jakieś ściervo — i nawet nie będę wiedział.

Poszedłem jednak. Nikt mnie nie „stuknął“. Patrzyli ponuro, ale rozmawiali — i dowiedziałem się od nich rozmaitych szczegółów o życiu podziemnej rezydencji Hitlera, które wykorzystałem w tym opowiadaniu.

Wracam do przerwane go toku.

3.

Generał Weitling w dniu swojej nominacji, to jest 24 kwietnia o godzinie 17,00, przyszedł do Hitlera. Mieszkanie Hitlera znajdowało się w tymże podziemiu i było przykryte z wierzchu masywną, żelazo-betonową płytą. Ostatnim razem Weitling widział Hitlera przed rokiem. I oto Hitler znowu przed nim. Tak, to ten sam człowiek z wąskimi ramionami, szerokim zadem i niskim czołem, z otluszczonym, jak wisząca kłódka, podbródkiem, z wiecznie wykrzywiałą się w grymasy twarzą. On, on... A jednak...

— Ujrawszy teraz führera — mówi Weitling — zdumiałem się jego wyglądem. Wstrząsnęły mną zmiany, jakie w nim zaszły. Miałem przed sobą ruinę człowieka. Głowa mu się trzęsła, ręce drżały, mowa była niewyraźna. Poczawszy od tego dnia, codziennie wieczorem przychodziłem do niego z wiadomościami o położeniu i sytuacji na berlińskim froncie. I z każdym dniem wygląd Hitlera pogarszał się...

Jak wiadomo, Berlin kapitulował 2 maja. Ale już 1 maja nasze oddziały werwały się głęboko w miasto.

Tego właśnie dnia widziałem, jak żołnierze naszej broni automatyzowanej szturmem wzięli jeden z berlińskich punktów werbunkowych z całą jego załogą — rekrutami-volkssturmistami. Był ich pełen dziedziniec. Naokoło toczył się bój, a ci, starannie spisywani, otrzymywali karabiny i faustgranaty, na które spoglądali

z wyraźnym lękiem. Jeden z nich siedział w kucki przed dużym śmietnikiem i koślawymi literami bazgrał na nim goebbelsowskie hasło: „Berlin bleibt deutsch“. Najstarszy z tego pospolitego ruszenia liczył 64 lata, najmłodszy — 42. Nazywali go ironicznie „młodzikiem“. Z takich ludzi Goebbels uformował bataliony volkssturmu. Uzbrojeni w 10—15 kulomiotów i faustgranaty, rozlokowali się za barykadami, zbudowanymi z wagonów tramwajowych, wypełnionych ceglami, albo po prostu z beczek, nabitych piaskiem, podpierających furię z ziemią. Nierzadko te barykady były obłożone stalowymi płytami. Nadzieje Goebbelsa nie urzeczywistniły się. Przy pierwszym poważnym nacisku volkssturmiści pierzchali. Inaczej sprawa się miała z regularnymi oddziałami: te były się zawzięcie. Ale były one zahartowane w walkach na przedpolach Berlina.

Tam, na dziedzińcu, podniosłem z ziemi berlińską gazetę „Morgenpost“, noszącą tę właśnie datę 24 kwietnia. W tym czasie gazeta osiągnęła już rozmiar maleńkiego arkusika o dwóch stronniczkach. Przeczytałem w niej paniczną odezwę Hitlera z hojnie wzmiankowanym ulubionym jego słowem: „rozstrzelanie“.

„Każdy, kto rozpowszechnia środki, prowadzące do osłabienia siły obrony, albo nawet tylko zgadza się z nimi, staje się zdrajcą. Zostanie natychmiast rozstrzelany na miejscu, albo powieszony. Tak samo będzie się postępować z tymi, którzy twierdzą, że podobne środki rzekomo pochodzą ze strony gauleitera Berlina, ministra Rzeszy doktora Goebbelsa, albo nawet ze strony Führera... Adolfa Hitler“.

Mieszkańcy Berlina, z którymi rozmawiałem, zapewniali, że ta odezwa — jedna z ostatnich odezw Hitlera — wprowadziła ostateczny zamęt w umysły berlińczyków. Nikt nie wiedział, jakiemu zarządzeniu władz od tej chwili należy wierzyć, a jakiemu nie. Zapanowała atmosfera powszechnej wzajemnej nieufności i podejrzliwości. Rozeszły się pogłoski, że Hitler to wcale nie Hitler, a jego sobowtór. Strach i panika królowały w oblężonym Berlinie.

W tym samym numerze „Morgenpost“ Goebbels pisał:

„Mogę stwierdzić, że w Berlinie panuje zdecydowanie bojowy duch i nie ma najmniejszego śladu nastrojów na rzecz kapitulacji. Białe chorągwie nie będą wywieszone w stolicy...“

W tym czasie wielu berlińczyków po kryjomu kroilo białe flaki z prześcieradeł i dolnej bielizny. Zapotrzebowanie na ręczniki było ogromne.

Wbrew optymizmowi tych urzędowych relacji, hitlerowska elita owładnięta była przez ponury i markotny niepokój. Sam

Hitler, jak twierdzą ludzie, którzy go obserwowali podczas tych ostatnich dni, zdradzał histeryczną zmienność nastrojów. Od beznadziejności przechodził do fantastycznej wiary w zwycięstwo, po to, żeby za minutę znowu wpaść w minorowy ton.

Jednego z takich pesymistycznych dni, 22 kwietnia, oznajmił swoim zwykłym deklamatorskim stylem, którego nie był w stanie pozbyć się nawet w te dni, że zbliża się oto zagłada państwa i że on sam postanowił paść na progu Kancelarii Rzeszy. Byli przy tym obecni: generał-feldmarszałek Wilhelm Keitel, generał-pułkownik Alfred Jodl i zastępca Hessa — Martin Bormann, osobistość, ciesząca się zaufaniem Hitlera, dowódca jego straży osobistej i bezpośredni wódz partii narodowo-socjalistycznej. Oprócz tego, znajdowała się tam skromna postać, stenografista Gerhard Gessel, młody niepozorny człowiek. On to właśnie następnie opowiedział o tej rozmowie, która miała miejsce w kwatrze głównej Hitlera, ostatecznie już w tym czasie zainstalowanej w podziemiu pod nową Kancelarią Rzeszy.

W odpowiedzi na bufonadę Hitlera Keitel delikatnie zauważył, że przeczy to planom samego Hitlera, które powziął on zaledwie wczoraj — i obejrzał się na małowównego Jodla, oczekując od niego podtrzymania. Ten bez przekonania bąknął, że rzeczywiście tak, 12-ta armia generała Wencka i inne jednostki, zapewne, mogą jeszcze zmienić sytuację pod Berlinem.

Ale Hitler, utwierdzając się w przybranej na dzień dzisiejszy pozie odrętwienia, powtórzył w jeszcze bardziej napuszonych zwrotach, że umrze w ginącym Berlinie i że to będzie najwyższy obowiązek w imię honoru niemieckiego narodu. Spojrzał przy tym wymownie na obecnych.

Jodl rzekł krótko:

— Do mnie należy dowodzić wojskiem, a nie zostać zabitym pośród ruin.

Wyszedł i zdecydowanym krokiem udał się do dzielnicy Gatow, gdzie na lądowisku stał czteromotorowy „Kondor“, gotowy do odlotu.

Hitler popatrzył za nim, nieprzyjemnie zdziwiony. I to — Jodl! Ten sam Alfred Jodl, który zawdzięczał mu wszystko, którego ze stopnia majora wyciągnął na generała-pułkownika w nagrodę za znakomity donos Jodla w 1938 roku na frondujących wówczas generałów: Rundstedta, Brauchitscha, Leeba, Bocka, Lista, Kleista i innych, którzy odbyli potajemne narady — narady, które Jodl, podkraǳszy się niepostrzeżenie, podsłuchiwał.

— Odlećcie wszyscy — powiedział Hitler po krępującej pauzie.

Keitel, dostosowując się do wzniesłego tonu rozmowy, wykrzyknął nieszczerze:

— Führerze! Jeśli pana opuścimy, nigdy nie będziemy mogli spojrzeć w oczy naszym żonom i dzieciom.

— Odjeżdżajcie! — powtórzył Hitler. — Wyjeżdżajcie prędzej! Ruscy mogą przyjść tutaj za tydzień. Za dwa dni! Za dziesięć minut! Jedźcie do południowych Niemiec! Stwórzcie tam rząd! Na zastępcę swego wyznaczam Goeringa!

Nie przeszkodziło to Hitlerowi, z właściwą mu zmiennością, wkrótce, jak to się okaże w dalszym ciągu opowiadania, wydać rozkazu aresztowania Goeringa.

Keitel nie dał się dłużej prosić. Wyszedł ze schronu i, zdecydowawszy widocznie, że z żoną i dziećmi jakoś dojdzie do ładu, pomknął na lotnisko, niemiłosiernie przynaglając szofera.

Niebawem wyśliznął się i cichy stenografista Gesell. Ściskając pod pachą teczkę i papiery, gnał przez Hermann-Goeringstrasse także tam, do Gatow. Kiedy gwizdały, przelatując, rosyjskie pociski, kładł się na chodniku i czekał. Potem znów pędził co sił pustymi ulicami. Bez tchu w ostatniej chwili wpadł na lotnisko i wgramolił się do samolotu. Olbrzymi „Kondor“, nabitý zaufanymi Hitlera, uniósł się nad Berlin, prześliznął się ponad rosyjskimi pozycjami i wkrótce wylądował szczęśliwie w Berchtesgaden. Wszyscy pasażerowie zostali tu aresztowani przez Amerykanów.

4.

A 25 kwietnia Hitler znów wpadł w niepojętą optyzm. Tego dnia generał Weitling zjawił się u niego z ważnym raportem.

Raport był dostatecznie ponury. Hitler słuchał w milczeniu, wbiwszy wzrok w żelazo-betonowy sufit, którego widok działał na niego uspokajająco.

Nielada wstrząsu doznał Weitling, kiedy Hitler zaczął mu przeczytać! Hitler nie mógł nie wiedzieć, że jeszcze wczoraj, 24-go kwietnia, wojska marszałka Żukowa opanowały na zachód od Berlina radiowęzeł Nauen z całym urządzeniem i obsługą; nie mógł nie wiedzieć, że wojska marszałka Żukowa werwały się w sam Berlin i zajęły w północnej jego części dzielnicę Pankow, w zachodniej — dzielnicę Tegel, we wschodniej — Dworzec Śląski; nie mógł nie wiedzieć, że dzisiaj, 25 kwietnia, wojska marszałka Żukowa przecięły wszystkie drogi z Berlina na zachód i połączyły się na pół-

noco-zachód od Poczdamu z wojskami 1-go Ukraińskiego Frontu i w ten sposób zamknęły pełny pierścień naokoło Berlina.

W odpowiedzi na niezbite argumenty generała Weitlinga o beznadziejnej sytuacji, Hitler zaczął wykrzykiwać urywkami zdań, bezładnie stukając drżącym palcem w mapę:

— Niebawem sytuacja się polepszy. Dziewiąta armia zbliży się do Berlina. Uderzy na ruskich. Wydałem rozkaz. Podejdzie także z zachodu dwunasta szturmowa armia generała Wencka. Uderzy w południowe skrzydło ruskich. Taki jest mój rozkaz. To jeszcze nie wszystko. Z północy nadciągną wojska generała Steinera — atak w północne skrzydło ruskich. Zobaczysz pan, generale, wszystko zmieni się na naszą korzyść...

— Słuchałem Hitlera z przerażeniem — wspomina Weitling — oczywista była dla mnie nieziszczalność jego planów. Dziewiąta armia była okrażona i wiodła ciężkie boje. Armia Wencka — zupełnie pozbawiona sił. Nie wierzyłem także w istnienie armii Steinera...

Generał Weitling wyrażał się nazbyt powściągliwie. Z armii Steinera pozostał do tego czasu tylko sztab, znajdujący się na północ od Berlina, albowiem jeszcze w marcu armia ta została pobita na głowę przez wojska 1-go Ukraińskiego Frontu. A jeśli chodzi o 12-ą armię szturmową, to akurat tego samego dnia poddała się ona amerykańskiemu wojskom. A 9-a armia w tym czasie była okrażona i wykończana przez nasze wojska. Hitler przywoływał upiory.

Bandyci faszystowscy pozostali sobą. Wszystko naokoło uległo przemianom, oni jedni zachowali formę swego istnienia: w dalszym ciągu łączyli jeden drugiemu, sobie, narodowi, gryźli się nadal o władzę.

Przyszedł telegram od Goeringa. Było to 26-go kwietnia, czyli kilka dni przed kapitulacją. O telegramie tym opowiedział Weitlingowi świeżo mianowany szef sztabu generalnego, generał Krebs, jedyny człowiek, z którym Weitling w tej atmosferze powszechnej wzajemnej nienawiści utrzymywał przyzwoite stosunki. W telegramie Goering przypominał Hitlerowi treść jednej z jego mów w Reichstagu. Hitler oświadczył w tym przemówieniu, że w chwili, gdy nie będzie w stanie dalej kierować państwem, złoży władzę w ręce Hessa, a w razie nieobecności Hessa — Goeringa. I właśnie Goering w swoim telegramie wskazuje, że obecnie Hitler odcięty jest od kraju i że — wobec tego — przekazać powinien władzę naczelną jemu — Marszałkowi Rzeszy, Hermanowi Goeringowi.

Hitler kategorycznie odrzucił żądanie Goeringa i zagroził mu ponadto jakimiś nadzwyczajnymi krokami. Według słów generała

Krebsa — w telegraficznej odpowiedzi Hitlera figurowało jego ulubione słowo „rozstrzelanie“. Goering został aresztowany, jak opowiada stenografista Gesell, przez esesowców w Berchtesgaden. „Za co, za co? — obłudnie wykrzyknął marszałek Rzeszy. — Czyż przez dwadzieścia trzy lata nie walczyłem o führera...“ Powlekli grubasa... Zaiste, zdumiewające widowisko przedstawiała ta walka faszystowskich psów o kość, której już nie było!

A tymczasem posuwało się zdobywanie Berlina. Padł park Treptow, dzielnice Neukölln, Moabit. Od południa Czujkow wziął Tempelhof, port powietrzny Berlina.

5.

Przeglądając swoje notatki, zrobione w te dni, 25, 26 i 27-go kwietnia, znajduję w nich następujące uwagi:

„...Mijamy wschodnie osiedla podmiejskie Berlina — Biesdorf, Malsdorf, Adlershof, Karlhorst, Köpenick i inne. Tak je zjeździliśmy podczas walk, że znamy teraz osiedla podberlińskie niegorzej od podmoskiewskich. Jeziora, ogrody. Pełno kwiatów. Pod nieprzytomnie pachnącą akacją stoi działo i wali w centrum miasta. W opuszczonych niemieckich okopach śmierdzą trupy. Wiosna i śmierć. Hitlerowskie imperium rozkłada się wśród aromatu kwiatów. Mrowie ludzi na ulicach. Berlińczycy w osiedlach szukają ratunku przed bombami. Domy stoją tu nienaruszone. Bliżej miasta — przerażające rudery, robotnicze „letniska“, zbite ze starej blachy i dykty. Małeńkie ogródki warzywne, gdzie rośnie chuderlawka kapusta...“

„...Dzieci żebrzą. „Brot!“ Pierwsze rosyjskie słowa, których się nauczyły. „Kusotszek kleba!“. Nasi komendanci rozdają Niemcom chleb na ich dawne kartki żywnościowe. Ale oni dalej żebrzą — łapczywość zamorzonych głodem. W samą porę zauważyliśmy, że wielu Niemców ma ogromną ilość kartek i wyjaśnił się ciekawy fakt. Okazuje się, że Amerykanie rzucali na Berlin nie tylko bomby, ale i żywnościowe kartki. Niesposób je było odróżnić od autentycznych berlińskich. Władze hitlerowskie wezwały ludność do niszczenia tych kartek. Ale w konflikcie między niemieckim patriotyzmem a niemieckim żołądkiem przeważnie zwyciężał ostatni. Przy pomocy tych kartek Amerykanie rękami samych Niemców niszczyli aprowizację Berlina i tak niedostateczną. Chcac temu zaradzić, władze berlińskie zmieniały kolor i format kartek. Oddajmy honor amerykańskiemu wywiadowi — już po kilku godzinach lotnicy rzucali na Berlin kartki świeżo-wprowadzonego typu...“

„...Berlińczycy przyczepiają się z pytaniami, narzucają swoje usługi, łaszą się. Niemcy cały dzień trą ulice miotłami, żeby zdemonstrować swoją pracowitość. Niektórzy oświadczają: „Ja nie jestem obywatelem niemieckim. Posiadam argentyński paszport“ — wyobrażając sobie naiwnie, że nie jesteśmy poinformowani o argentyńskich kontaktach faszystów...”

„...Na Frankfurterallee bateria „Katiusz“ wali w Reichstag swoimi długimi błyskawicami...”

„...Objeżdżam Berlin z północy. Skręcam na zachód. W dniu dzisiejszym oddziały generała-pułkownika Kuźniecowa biorą Berlin z zachodu. Autostrada. Otacza ona Berlin prawie naokoło. Po raz pierwszy zobaczyłem ją 21 kwietnia. Wtedy nie można się było tu precyzyjnie: szło natarcie na przedmieścia Berlina. Teraz wszystko — artyleria, czołgi — kieruje się w poprzek autostrady, krótszą drogą — do centrum. Oszołomiająca gładkość asfaltu. Dwie połowy, każda szerokości dziewięciu metrów, pośrodku dwumetrowy pas przedzielający. Może posuwać się w obu kierunkach jednocześnie sześć strumieni pojazdów. Białe słońce. Kwitną jabłonie. Na lewo płonie Berlin...”

„...Deszcz, jak prawie podczas wszystkich tych dni, wesoła krótkotrwała burza. W lesie, koło rzeki Havel, trafiamy pod bombardowanie (zapewne to ostatnie moje bomby podczas wojny). Niemcy biją w przeprawę. Bombardują szybko, trafiają obok. Nie zwracając uwagi na bomby, przez rzekę gęsto idą naprzód wojska...”

„...Jedziemy teraz na wschód przez lasy Berlinerwald, Grünewald, prawdziwie niemieckie lasy, z rowkami do odpływu wody po bokach ścieżek i ze skrzynkami na niedopałki. Brak tylko blaszanych numerków inwentarzowych na drzewach. Mnóstwo porzuconych samochodów osobowych („Adlery“, „Mercedesy“, „Oppele“, „Wanderery“). Do tyłów eleganckich samochodów doczepione szkaradne „samowary“ gazogeneratorów — głód benzyny. Dostojaństwo niemieckiej przyrody zakłócają barykady z cementowych i stalowych płyt, starannie ustawione między drzewami, przeważnie opuszczone. W lesie Niemcy walczą słabo. Bystro cofają się na wschód, do Charlottenburga, pod osłonę domów...”

„...Generał-pułkownik Kuźniecowa powiedział:

— W metro zacięte walki. Niemcy reflektorami oświetlają podziemne tunele i przestrzeliwiają je z kulomiotów. Odrzuciliśmy zamiar wysadzenia metro, żeby nie runął Berlin...”

„...Kolumna oswobodzonych z obozu w Kaulsdorf. Sędziwy starzec w mycce, pop Chiżniakow. Razem z żoną. On liczy 76 lat,

ona 64. Po co ich popędzili. Nie wie. Pracowali przy rozbiórce ruin za 200 gramów chleba na dzień. W jaki sposób zdołali utrzymać się przy życiu?

— Kradliśmy kartki — powiada — kraść u wroga nie grzech. A dwa tygodnie temu Włosi wpadli na kaszy, okropnie, ordynarnie kradli kartki kaszane. Przez nich, przez tych Włochów, wszystkiemu było gorzej. Głód. Pan Bóg dopomógł — przysłał Czerwoną Armię...”

„...Małżeńska para: Holender i Haliczanka. Pobrali się w niewoli niemieckiej. On — młody i powolny rudy olbrzym. Ona — małeńka, czarna, ruchliwa. Porozumiewają się cudaczną mieszaniną holenderskiego i ukraińskiego. Widoczne jest, że bardzo się kochają. Szczęśliwi są, że wyrwali się z faszystowskiego jarzyna, ale pełni niepokoju: czyżby mieli się rozłączyć? Ona gotowa jest jechać z nim do Haagi, on z nią — do Kołomyi...”

„...Dwóch komunistów niemieckich. Oswobodzeni przez naszych. Siedzieli siedem lat. Wysokie, barczyste chłopaki, typy robotników. W dwubarwnych ciemno-zielonych kurtkach, w kłownowskich portkach z jaskrawymi lampasami — odzież niemieckich galerników. Podażają do Berlina. Na plecach worki z kartoflami, wykopanymi na opuszczonych działkach. Twarze mizerne i szczęśliwe. Długo machają rękami...”

6.

„...Belg Joseph Buick. Inżynier. Wysoki, sprężysty, nerwowy. Ręczny wózek całego towarzystwa wiozą — dziewczęta, staruszki, jeszcze inni inżynierowie. Siedząc na brzegu berlińskiej autostrady, w chłodzie cienistych sosen, rozmawiam z nimi o naturze niemieckiej. Obserwując usługłość cywilnych Niemców, Buick powiada z niezłomnym przeświadczeniem:

— Niemiec nie zna umiaru. Albo płaszczy się z odrażającą służalczością, albo strzela w plecy.

— Czyż można wydawać taką opinię o całym wielkim narodzie? Czy to nie oznacza, że się samemu patrzy pod rasistowskim kątem widzenia? Niemcy mają i dobre cechy — mówię krótko, przyjmując na siebie rolę adwokata diabła — na przykład: wytrwałość, metodyczność, pracowitość, zdolności organizacyjne...

— Ó! — przerywa mi Belg i nieoczekiwanie śmieje się. — Cnoty, które pan wymienił, monsieur, są czysto techniczne, pożytkowe. Mogą być one użyte zarówno na dobro, jak i na zło. Niemcy użyli je na zło. Wytrwałość w rabunkach, metodyczność w tortu-

rowaniu, pracowitość w mordowaniu, wspaniała organizacja obozów śmierci... A w ogóle, istnieje fałszywy sąd o niemieckim charakterze. Uważa się, że u podstawy niemieckiej natury leży wierność, stateczność, solidność. Tak nie jest. Ja dobrze znam Niemców. Przypatrzyłem się im przez te trzy przekłete lata. Na ogół Niemcy są lekkomyślni, podstępni, histerycznie kapryśni i do gruntu zdemoralizowani przez Hitlera. Może są i inni. Nie wiem.

— Mnie się zdaje — powiedziałem niebardzo pewnie — że jednak powinni być.

— Ja ich nie widziałem, monsieur — sucho powiedział Belg — Niemcy są pełne ruin — nie tylko materialnych, ale przede wszystkim moralnych...”

Przypomniałem sobie tę rozmowę po kilku dniach, już po kapitulacji Berlina, obserwując pewną scenę w centrum miasta. Wybiegając nieco naprzód, opowiem o niej.

2-gi maja. Alexanderplatz. Berlin tylko co poddał się. Pierwsze minuty po kapitulacji. Niemieccy żołnierze składają broń. Władzy już nie ma i jeszcze nie ma. Na placu stoi ogromny, uniwersalny sklep Tietza. Zburzony jest, ale piwnice i składy ocalały. Tłum cywilnych Niemców i Niemek o solidnej mieszczańskiej powierchowości rzuca się na składy Tietza i rabuje je. Patrzę na to widowisko z zainteresowaniem, niepozbawionym złośliwej uciechy. Mój kompan, kapitan Sawieliew, ogromnie zadowolony. On gromadzi takie fakty. Ale o jego rozległej, zajmującej kolekcji niematerialnych relikwii opowiem później.

Zbliża się nasz komendancki patrol. Dowodzi nim starszy lejtenant, niemłody, o doskonałej żołnierskiej postawie, świeżo ogolony, z olśniewajaco wypucowanymi cholewami, tak, jak wypada w stolicy, choćby ujarzmionej.

Patrol rozpędza grabieżców. Rozchodzą się: jedni z przypochlebnie służalczymi minami, tak charakterystycznymi dla pokonanych Niemców, inni — strojąc grymasy niezadowolenia. Jakiś Niemiec w podeszłym wieku, o wielce czcigodnym wyglądzie, wyraźnie zirytowany. Gniew dodał mu odwagi. Podchodzi do starszego lejtenanta z wyjaśnieniami. Starszy lejtenant mówi po niemiecku. Odbywa się między nimi następująca rozmowa, uchwycona stenograficznie.

Niemiec (tonem szlachetnego oburzenia): — Dlaczego przeskadzacie nam rozbierać składy Tietza?

St. lejtenant: — Wy to nazywacie: rozbierać? To rabunek. A rabunek jest wzbroniony.



Niemiec: — Ale to przecież między Niemcami.

St. lejtenant (z hamowaną wściekłością, ale poprawnie). — Rabunek jest wzbroniony. W swoim czasie wyście nas grabili. Wypędziliśmy was.

Niemiec (zgadzając się lojalnie): — Słusznie. Ale teraz my grabimy swoich.

St. lejtenant: — Po prostu dlatego, że nie możecie już innych grabić (Tonem urzędowym). Wszystko jedno nie wolno (Sylabizując, jak dziecku albo idiocie). To nieporządek. Ra-bo-wać nie-wol-no. Będziecie się musieli z tym pogodzić.

Niemiec, urażony, wzruszył ramionami i odszedł, coś tam bąknąwszy pod nosem. Co mianowicie — nie było słyhać. Ale cała jego postać mówiła: „No i czasy nadchodzą!...”

Wtedy właśnie przypomniałem sobie wywody Belga o moralnych ruinach Niemiec i pomyślałem, że odbudowa tego rodzaju ruin będzie najcięższą sprawą.

Wracam do chronologicznego przedstawienia wypadków.

7.

29 kwietnia. Wieczór. Generał Weitling zjawia się u Hitlera ze swoim codziennym meldunkiem.

Wygląd Hitlera zmienił się nie do poznania. Mięśnie twarzy w nieustannym ruchu, ręce rozedrgane, głos ledwo słyszalny. Przy sprawozdaniu są obecni: Goebbels, generał Krebs, adiutant osobisty Hitlera, gen. piechoty, Borckdorf i cień Hitlera — Martin Bormann.

Goebbels, którego Weitling dawno nie widział, przeraził go swoją trupią bladością. Była to bladość mieszkańca podziemi. Goebbels słynał z feliórzostwa. Nawet w przerwach między alarmami nie wychodził ze schronu. Od dawna już nikt nie widział Goebbelsa na powierzchni ziemi. Wiódł życie kreta.

Weitling zabiera się do raportu, który miał zostać jego ostatnim raportem. W przeciągu półtorej godziny uzasadnia, że niepodobienstwem jest opierać się dalej, że runęły wszelkie nadzieje na zaopatrywanie Berlina w amunicję i żywność z powietrza.

W odpowiedzi dało się słyszeć jakieś mamrotanie Hitlera. Że wydał dodatkowy specjalny rozkaz o przerzuceniu do Berlina broni i żywności, że jeżeli jutro sytuacja z dostawą się nie poprawi, wyda sankcje na zostawienie Berlina i podjęcie próby przerwania się wojska.

Weitling odpowiedział:

— Jako żołnierz, mam obowiązek otwarcie panu powiedzieć, że nie istnieją już możliwości bronięcia Berlina i pana. A czy są jeszcze widoki dla pana osobiście, żeby wydostać się stąd?

Człowiek z czarnymi wąsikami, z drgającą twarzą, wybełkotał, wytrzeszczając mętne, jak u narkomana, oczy:

— Bezcelowe... Moje rozkazy... Nikt ich nie wypełnia..

Ta lakoniczność, tak niezwykła u rozmówowanego w sobie gaduły Hitlera, zdumiała Weitlinga ogromnie.

8.

Następny dzień. 30 kwietnia. Ciężkie pociski przebijają ściany Nowej Kancelarii Rzeszy. Wałą się wielopudowe kryształowe żyrandole. W salonie fruwały blankiety z pieczęcią „Kancelarz Rzeszy“. W Marmurowej Sali z hukiem odpadają bryły porfiru.

Tego dnia, jak opowiadali mi esesowcy z oddziału straży osobistej Hitlera, ustawiono ich w podziemiu ze sztandarami, z dowódcą na czele, kierownikiem ochrony kancelarii Rzeszy, Brigadeführerem SS, Moncke. Potem ukazał się Hitler w cywilnym czarnym ubraniu, z wstążeczką żelaznego krzyża w klapie. Przeszedł przed frontem oddziału. Trzymał się ze zwykłą napuszonoscią; grube nogi tupwały nie zginając się w kolanach, prawa ręka, wyraźnie drżąca, wyciągnięta była ruchem, który uważał on za antyczny. Wszystko, jak zwykle. Jedno było tylko niezwykle: Hitler milczał. Ten histeryczny gaduła nie wyrzekł ani słowa. Dlaczego? Czyżby dlatego, że nie chciał zdradzić drżenia swego głosu? Albo też — jeżeli to był nie Hitler, a jego sobowtór — dlatego, że zabroniono mu demaskować się brakiem połobieństwa w głosie?

Tego samego dnia, 30 kwietnia, o godzinie 14 minut 30 generał Weitling zwołuje u siebie w sztabie naradę dowódców bardzo już wtedy uszczuplonych odcinków obrony Berlina. Uczestnicy narady zgadzają się z projektem, że należy przedzierać się z Berlina. W tym momencie wchodzi na zebranie wysłannik Hitlera — oficer oddziału jego straży osobistej, Obersturmbannführer SS (godność odpowiadająca stopniowi podpułkownika).

Na widok tego rosnącego chwata, hitlerowskiego pretorianina, w głowie Weitlinga — z przyzwyczajenia — zakiełkowało podejrzenie. Nachyliwszy się do swoich oficerów, szepnął:

— Uwaga. On ma rozkaz rozstrzelania mnie...

Esesowiec wręcza generałowi Weitlingowi kopertę. To — pismo od Hitlera. Ku radosnemu zdumieniu generała — Hitler udziela mu w tym liście swobody działania.

Ale tego samego dnia, po trzech godzinach, u Weitlinga zjawia się powtórnie ten sam Obersturmbannführer z nowym pismem. Tym razem jest ono podpisane przez adiutanta dowódcy brygady SS, broniącej Nowej Kancelarii Rzeszy. Poleca się Weitlingowi: 1) wstrzymać wszelkie przygotowania do przerywania się z Berlina, 2) bronić Berlina do ostatniego człowieka, 3) natychmiast po otrzymaniu niniejszego stawić się u szefa sztabu generalnego, generała Krebsa.

Ogłupiony tymi przeczącymi sobie rozkazami i w nie byle jakim strachu o swój los, o godzinie 19-ej Weitling przybył do Nowej Kancelarii Rzeszy, dotarłszy tam poprzez płonące ulice, wśród świstu pocisków.

Wszedł do gabinetu Hitlera. Zastał tam trójkę: Goebbelsa, Krebsa i Bormanna.

Zakomunikowano Weitlingowi, że dziś, 30 kwietnia, o godzinie 15-ej Hitler i jego żona popełnili samobójstwo przez zażycie trucizny i następnie — dla całkowitej pewności — zastrzelenie się. Trupy, w myśl życzenia Hitlera, spalone zostały w ogrodzie nowej Kancelarii Rzeszy, w „Ogrodzie samobójców“.

Weitling słuchał z rozdziawionymi ustami. Następnie Goebbels, zmieniając żałobny ton na rzeczowy, oświadczył:

— Führer w swoim testamencie mianował rząd: prezydent — gross-admirał Doenitz, minister partii — Bormann, kanclerz Rzeszy — ja, doktor Goebbels.

W Weitlingu dojrzało teraz jedno wyraźne pragnienie, przypuszczalnie najsilniejsze z wszystkich pragnień, jakie kiedykolwiek odczuwał przez całe swoje życie: przeżyć tę krwawą panikę. I dał sobie słowo przeżyć za — wszelką cenę.

9.

W Berlinie od dawna przebąkaliwali o tym, że w Nowej Kancelarii Rzeszy zamiast Hitlera siedzi jego sobowtór. Nie ma w tym nic nieprawdopodobnego. Zewnętrzność Hitlera jest do tego stopnia pospolita, że zupełnie nie jest trudno dobrać sobowtóra, albo nawet kilku. Niewymyślna kompozycja czarnych wąsików, zawadiackiego sutenerskiego czuba, niskiego czoła i buldoczego podbródka — a te rysy są wśród Niemców bardzo rozpowszechnione. Jednego

z „trupów Hitlera“ widziałem 2 maja w Nowej Kancelarii Rzeszy. Powiadam — jednego, ponieważ było ich wszystkich, zdaje się, sześć. Leżał przede mną człowiek, bardzo podobny do Hitlera, w czarnym ubraniu z wstążeczką żelaznego krzyża. Wezwani do zidentyfikowania główny lekarz Hitlera oraz jego służba nie poznali w żadnym z trupów swojego fűhrera. Prawdziwy Hitler miał silnie rozwinięte guzy nad oczyma (okoliczność, nawiasem mówiąc, charakterystyczna dla jaskiniowego, tak zwanego, neandertalskiego człowieka z czwartorzędowej epoki, a współcześnie — właściwa człekokształtnej małpie z gatunku szympanów), ponadto brakowało jeszcze jakichś innych zoologicznych cech, właściwych jego wyglądowni. W czołach wszystkich sześciu sobowtów widniały dziurki, pochodzące od rewolwerowego wystrzału. Byli oni doprowadzeni do samobójstwa, czy też wykończyli ich hitlerowscy lejbgwardziści? Jakiego rodzaju brudny dramat w stylu ordynarnych kryminalnych powieści kryje się w całej tej historii?

A czy generał Weitling wierzył w śmierć Hitlera? W ogóle nie zastanawiał się nad tym. Weitling myślał nietylko o śmierci Hitlera, ile o życiu Weitlinga. Mówi:

— Jeżeli istotnie, zdecydowali się na figiel z sobowtorem, to jest to najgłupsze i najfatalniejsze oszukaństwo, na jakie kiedykolwiek poszedł narodowy socjalizm.

Inny uwięziony generał, przeciwnie, uważa za zupełnie możliwe, że Hitler się ukrył.

— Czy pan widział Unter den Linden? Niegdyś najpiękniejsza ulica Berlina, ulubione miejsce defilad i pochodów. Obecnie — kupy gruzów i zwęglone lipy i kasztany... — Zamilkł na sekundę, westchnął i ciągnął dalej: — Ale nie o to chodzi. Zauważył pan zapewne, że Unter den Linden jest bardzo szeroka, tak szeroka, że doskonale może być użyta do startowania samolotów. Tak też i było: to ostatnie lotnisko Berlina. A jeszcze zupełnie niedawno w Berlinie istniało trzydzieści pięć lądowisk. I oto przed kilku dniami, a ściśle: 30 kwietnia, z Unter den Linden podniosło się dwadzieścia samolotów i udało w niewiadomym kierunku. Kto wie, może w jednym z nich siedział Hitler? Zresztą, w podziemiu pod Nową Kancelarią Rzeszy istnieje szynowe urządzenie dla samolotów...

Jeniec pułkownik miał inne zdanie o tej sprawie:

— Nie znam faktów, ale wnioskuje o śmierci Hitlera z przesłanek ściśle rozumowych. To nie jest człowiek podziemia. To człowiek sceny. Nie potrafiłby żyć na wygnaniu, bezosobowo. Potrzebne mu są tłumy, reflektory, reklama. Poza tym — jest tchórzliwy. Wiadomo, że ów sławny żelazny krzyż pierwszego stopnia, który

Hitler jakoby otrzymał podczas pierwszej wojny światowej — został przez niego po prostu ukradziony albo kupiony w burzliwe dni 1918 roku, kiedy to nietrudno było zrobić. On przecież w walce nie był, okopów nie walczył — był ordynansem przy sztabie bawarskiego pułku... Nie mam żadnej wątpliwości, że, uświadomiwszy sobie całą grozę sytuacji bez wyjścia, ogarnięty strachem, zastrzelił się.

Zagadnienie to zresztą w ogóle nie posiada wielkiego znaczenia. Jeżeli Hitler nawet i żyje, wszystko jedno umarł już. Piszę o tym wszystkim tylko dlatego, żeby pokazać, w jakim kryminalnym odorze, w jakim krwawym kłamstwie i brudzie dogorywał faszyzm.

Przechodzę do dalszej opowieści o jego ostatnich minutach.

10.

1 maja u generała-pułkownika Czujkowa zjawił się szef sztabu generalnego Krebs w charakterze parlamentariusza.

Było to w Berlinie. Sztab armii Czujkowa zajmował duży, sześciopiętrowy dom, zachowany w całości, chociaż front jego był pokaleczony odłamkami. Rozmowa odbywała się przy ogluszającym akompaniamencie artylerii. Nieopodal toczyła się walka o śródmieście.

Generał Krebs spróbował użyć tonu, który uważał za salonowy, ale który w rzeczywistości brzmiał w tych warunkach dosyć nonszalancko. Mówił po rosyjsku: przed wojną był attaché wojskowym ambasady niemieckiej w Moskwie. Pograżył się we wspomnieniach.

— Pamięta pan, generale — powiedział, usiłując być lirycznym — akurat przed pięciu laty, tego samego dnia, 1 maja 1940 r., staliśmy obok siebie, ja i pan, w Moskwie na placu Czerwonym podczas defilady?...

— Nie — odpowiedział zimno Czujkow — nie pamiętam. Proszę referować swoje propozycje.

Spuściwszy z tonu, Krebs wybałał półgłosem, że dowództwo niemieckie wysuwa propozycje zawarcia rozejmu czasowego. Ze słów Krebsa można było wnioskować, że ocalałe faszystowskie władze dążą do separatystycznego układu z ZSRR. Warunki te zostały kategorycznie odrzucone. Czujkow oznajmił, że dowództwo radzieckie godzi się przyjąć tylko bezwarunkową kapitulację Berlina.

Generał Krebs odszedł z niczym.

Wróciwszy, dał nura w podziemie. Generał Weitling został znów wezwany na naradę do Nowej Kancelarii Rzeszy.

Zanim opiszę tę godną uwagi naradę, ostatni przedśmiertny skurcz faszyzmu, zobaczymy, co działo się w tym momencie w Berlinie.

11.

Nad Reichstagiem już od drugiej godziny dnia wczorajszego powiewał czerwony sztandar, zatknięty tam po zaciętej walce przez śmiałków z batalionu kapitana Nieustrujewa. Berlin — to miasto prostych ulic. A jednak my, grupa korespondentów wojennych, posuwaliśmy się z trudnością — drogę zagradzały zwałiska gruzu, pożary, leje. Przez Szprewę i kanały przeszliśmy dawnymi mostami, których Niemcy w ogólnym popłochu (nie tak, jak w Warszawie i w Poznaniu) nie zdążyli wysadzić w powietrze. Do dzielnic Charlottenburg i Schöneberg docieraliśmy, posługując się znakomitym planem Berlina, który otrzymaliśmy jeszcze za Odrą i na którym umownymi znakami dokładnie były oznaczone zniszczenia, wyrządzone Berlinowi przez naloty. W Charlottenburgu i Schönebergu, podobnie jak i na wielu ulicach Mitte (środek miasta), odbywały się zacięte walki. Niemcy, cofając się, nieustannie strzelali z bliska z samochodów pancernych i z zenitówek. Załoga „pięści pancernych“, zaczajona na pierwszych piętrach miotała granaty nawet w poszczególnych żołnierzy. Z drugich pięter waliły karabiny maszynowe. Ze strychów — strzelcy. W ogóle ostatnie dni Berlina — 30 kwietnia, 1 maja i jeszcze rano 2 maja — były najgorętsze z całego okresu berlińskich walk ulicznych.

Skrzyżowanie jednej z uliczek Blumenstrasse było gęsto zabarykadowane wszelkiego rodzaju przeszkodami: zaporami z drzewa i ziemi, kozłami hiszpańskimi, wilczymi dołami, jeżami ustawionymi z szyn. Dwa narożne domy, połączone w ten sposób przez Niemców, stanowiły jeden fort. Wywiadowcy szturmowej grupy, którą dowodził małowzrosty, mały, ale barczysty, młodszy lejtenant Arsenij Końkow, wysłedzili, że garnizon tego umocnienia składa się z przedziwnej mieszanki: junkrów z berlińskich szkół wojennych, volkssturmiści, policjanci, żołnierze artylerii przeciwlotniczej — w większości zbiegowie z innych, już zajętych, dzielnic Berlina.

Jak zwykle, w walkach ulicznych, między nami a przeciwnikiem nie istniała strefa neutralna, tak zwana „ziemia niczyja“. Wal-

czyło się pierś w pierś. Bardzo ciekawe było obserwować obserwatorów, którzy tak wydoskonalili się w wypatrywaniu przeciwnika, że sami pozostawali niewidoczni. Naturalnie lornetek, a tym więcej lunet polowych nie używali. Wypatrywało gołe oko: odległość od przeciwnika wyrażała się w metrach. Obserwator, starszy sierżant Miron Gurewicz, ogromny mężczyzna, z wysiłkiem wsunął się w jakąś rozwaloną komórkę i, ściskając w swojej potężnej ręce kowala słuchawkę telefoniczną, szeptał ochryplym, namiętnym głosem: „Rznijcie w narożne okno na drugim piętrze! Siedzi tam obsługa pancerafaustów....“ Potem, po salwie artylerii: „Dobra! Pancernicy — kaput!...“

Arsenij Końkow i czterej ludzie jego grupy wywiadowczej mieli piersi i brzuchy białe od nieustannego czołgania się. Przeciwnik znajdował się zarówno nad głową, na strychach, na dachach, jak i pod nogami — w tunelach metro, w kanałach. Do ataku na te domy, jako pierwsi, popęzli wywiadowcy. Odwaga ich była nieporównana. Wtargnęli na pierwsze piętro i, operując granatami oraz kindżałami, opanowali je. Droga odwrotu była dla Niemców odcięta. Nasze samochody pancerne i czołgi z odległości czterystu metrów bardzo celnie biły w górne piętra. Niemcy byli ogłuszeni, oślepieni. I niebawem w tumanach ceglanego pyłu pokazał się kawałek prześcieradła, przywiązany do szczotki. Niemcy poddali się. Sukces ten był ochmurzony śmiercią Arsenija Końkova. Odłamek granata rozerwał mu pierś. Leżał w kacie na stosie szyneli, otoczony przyjaciółmi. Chłopięca jego twarz była, jak zwykle, junacka i trochę posepną. Umierał tak, jak żył, milcząc i nie żaląc się.

Podczas gdy w jednych dzielnicach gorzały walki, w innych pośpiesznie organizowało się życie. W niektórych zostali już wyznaczeni spośród Niemców burmistrze, na murach wisały nasze odezwy i rozporządzenia, tłumaczone na język niemiecki i tłumnie zebrani berlińczycy czytali je łapczywie. Tuż obok odbywało się rozdawanie produktów ludności. Żołnierze WAD-u (Wojenno — automobilowa droga) sprawnie rozklejali nowe plakaty. Najwięcej tych, które cytowały słowa Stalina. „...hitlery przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki, a państwo niemieckie pozostaje“. Nie wszędzie zdążyli zerwać stare plakaty — widziałem na Kopernikusstrasse taki obrazek. Porządnie ustawiona kolejka Niemców z torbami. Nieopodal plakat, ilustrujący bestialstwa niemieckie, z napisem: „Tatusiu, zabij Niemca!“ Na tle tego plakatu Niemcy z uszczęśliwionymi twarzami otrzymywali mięso z rąk żołnierza na żywnościowym punkcie, zorganizowanym przez naszego komendanta.

Właśnie tego samego dnia, 1 maja, generał Weitling przybył na naradę do Nowej Kancelarii Rzeszy. Udał się do Goebbelsa. Zawsze, ilekroć mówi się tu o pokojach faszystowskich wodzirejów, należy pamiętać, że nie są to zwykłe pokoje. Schron pod Nową Kancelarią Rzeszy ma 14 pięter. To jakby drapacz chmur, wbity w ziemię. Weitling zjechał windą na jedno z dolnych pięter, do gabinetu Goebbelsa, bogato przybranego dywanami. Była tu ta sama kompania: Goebbels, Krebs, Bormann.

Echa walki nie docierały tutaj. Wynikła sprzeczka. Goebbels uparcie powtarzał:

— Führer zabronił kapitulować.

Bormann go popierał. Generał Krebs milczał. Generał Weitling krzyknął w silnym wzburzeniu, niezwykłym u tego opanowanego człowieka.

— Przecież Führer już nie żyje!

Nie odpowiadając wprost na ten okrzyk, Goebbels powtarzał:

— Führer przez cały czas nalegał na walkę do końca.

Weitling opuścił zebranie, powtórzywszy jeszcze raz przed wyjściem, że Berlin nie jest w stanie dłużej się trzymać.

Tego dnia Goebbels usiłował otumanić berlińczyków nowym kłamstwem. W swojej odezwie, datowanej 1 maja, zapewniał, że z Zachodniego Frontu wszystkie wojska są wycofane i idą bronić Berlina. Było to w przeddzień kapitulacji i w Berlinie już nikt nie miał wątpliwości, że za późno jest na odwołanie z Zachodniego Frontu choćby jednego żołnierza i że wojsko niemieckie masami poddaje się tam Sprzymierzeńcom.

Żegnając się z Krebsem, Weitling zaprosił go do swojej kwatery. Krebs odpowiedział:

— Zostanę tutaj, dopóki to będzie możliwe, a potem wpakuję sobie kulę w łeb. Myślę, że to samo zrobi Goebbels.

Zrobił to Krebs. Zrobił i Goebbels. A co do Weitlinga, to ten przestał się wahać. Nie chciał strzelać do siebie. Nie chciał, żeby inni do niego strzelali. Wydał rozkaz oddziałom, broniącym Berlina: kto chce i może, niech przedziera się z Berlina, pozostali — złożyć broń.

Generał Weitling zawczasu zaliczył siebie do kategorii „pozostających“. A inni? Nastrój ogólny berlińskiego garnizonu scharak-

teryzuje najlepiej opis narady, zwołanej przez Weitlinga 1 maja o godzinie 21 minut 30. Zebrali się oficerowie sztabu obrony Berlina i oficerowie 56-go korpusu czołgów, którym Weitling dowodził do czasu swojej nominacji na stanowisko dowódcy obrony. Weitling oświadczył:

— Mamy przed sobą trzy drogi: stawiać opór, przedzierać się, kapitulować. Stawiać opór — bezcelowe. Przedzierać się — oznacza, nawet w wypadku powodzenia — trafić z jednego kotła w drugi. Pozostaje trzecia droga...

Nie było między zebranymi ani jednego, który nie zgodziłby się z generałem Weitlingiem. I w nocy generał wysłał do dowództwa rosyjskiego parlamentariusza — pułkownika Teodora von Düffing, szefa sztabu 56-go korpusu czołgów, z oznajmieniem o zaniechaniu oporu przez niemieckie wojska.

Z rana generał Weitling osobiście zjawił się w sztabie generała Czujkowa. Podczas opowiadania o ostatnich dniach Nowej Kancelarii Rzeszy raptem opuściło Weitlinga jego zwykłe opanowanie. Uległ krótkiemu, ale silnemu atakowi histerycznemu. Nie mógł w tym stanie sam zreagować zarządzenia kapitulacyjnego. Pomógł mu szef sztabu obrony Berlina, pułkownik Hans Refior, tęgi, fircykowaty, niewzruszenie spokojny mężczyzna, z monoklem i starannie utrzymanym przedziałkiem. Odnosiło się wrażenie, że dbałość o swój wygląd stanowi podstawowe zajęcie tego rosnącego, wychuchanego oficera.

Tak dokonana się kapitulacja Berlina. Zeznania pułkowników von Düffing i Refior na ogół nie różnią się od tego, co opowiadał generał Weitling.

13.

2 maja w Berlinie padał drobny, chłodny deszczyk, który nie mógł zagasić pożarów. Niskie, ciężkie chmury płynęły nad ruinami, ledwie nie zawadzając o czerwone sztandary, powiewające nad Berlinem.

Z rana jeszcze trwały walki, ale w dzień na skrzyżowaniach ulic, jak stosy chrustu rosły góry karabinów, składanych przez żołnierzy niemieckich.

Udał się do Reichstagu. Stał w kłębach dymu. Chociaż żołnierze nasi stłumili pożar, ściany żarzyły się jeszcze. Reichstag był całkowicie zburzony przez pociski. Zamienił się w jakieś gigantyczne kamienne kłbowisko. Zgadywało się po zarysach ogólnych, gdzie jest główne wejście.

Podniosłem kamień, pochodzący ze ściany Reichstagu i schowałem go do kieszeni na pamiątkę. Mój towarzysz, kapitan Sawieliew, o którym już wspominałem, kawalerzysta — wywiadowca, romantyk, nie okazywał przywiązania do materialnych eksponatów. Także gromadził kolekcję, ale innego rodzaju. Wyjął cygaro i zapalił je od tłącego się muru Reichstagu. To wydarzenie było właśnie jego relikwią. Sawieliew kolekcjonował niezwykle wypadki, wyjątkowe sytuacje. Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, napełnionego taką ilością osobliwych tematów. Ujmował je w opowiadania, wyłącznie ustne, bardzo krótkie i zawsze wiarygodne. Gdyśmy się znaleźli na jednej ze stacji berlińskiego metro, gdzie przed chwilą ustały walki, Sawieliew pogrzebał w kieszeni, wyciągnął bilet moskiewskiego metro i przykleił go na szarym murze berlińskiego tunelu podziemnego. To wydarzenie także zostało włączone do kolekcji.

W Reichstagu ocalały schody. Weszliśmy na drugie piętro. Stopnie ledwo zaznaczały się w rumowisku cegieł i tynku. Weszliśmy do niewielkiej sali. Wszędzie ziały otworami wyrwy. Wykładana mozaiką posadzka zasypała była zawałonym sufitem i szczątkami mebli. Ze ścian zwisały strzępy obić z wytłaczanej materii. W środku tej kamiennej dżungli siedział w kucki czerwonoarmista. Odwrócił w naszą stronę okopconą w dymie prochowym twarz i uśmiechnął się serdecznie.

— Może pozwolicie? — powiedział.

Zbliżywszy się, zobaczyliśmy, że żołnierz kucharzy. Rozpalił na podłodze, w kupie cegieł, małe ognisko, które podsycał szczapami z rozbitych palisandrowych i mahoniowych mebli. Na tym ognisku, w blaszance od konserw smażył sobie kartofle, co raz dorzucając kawałki tłustego mięsa.

— Skąd jesteś? — spytał Sawieliew.

— Ze wsi Lińkowo, ziemia Riazańska — odpowiedział czerwonoarmista.

I chociaż tylko co zjedliśmy suty obiad i Sawieliew absolutnie nie mógł być głodny, zjadł łyżkę dymiących kartofli, przyrządzonych na palisandrowym ognisku 2 maja w Reichstagu przez kołchoznika ze wsi Lińkowo.

— Smakowało? — spytał troskliwie krasnoarmista.

— Dziękuję — odpowiedział Sawieliew — wspaniała relikwia...

Ów dzień jak gdyby przełamał się na dwie części. Pierwsza połowa — krwawe uliczne walki. Druga — cisza, zdumiewająca cisza, od której odwykły uszy. Przez całą resztę dnia wałęsałem

się po Berlinie i tysiące oficerów i żołnierzy, tak jak i ja, również waleśało się po Berlinie, doznając w niczym nie dającego się porównać uczucia, że oto osiągnięty jest cel wojny, więcej: cel życia i rozumiejąc dokładnie, że wrażenia tego dnia są szczególne i niepowtarzalne.

— A pamiętacie — raptem spytał Sawieliew — kałużę?

— Jaką kałużę?

— W Kurbince, na pozycji, gdzie grzeźliśmy w błocie w listopadzie 1941 roku, sześćdziesiąt dwa kilometry od Moskwy.

Akurat przechodziło jakieś towarzystwo oficerów, tak samo spacerujących po Berlinie jak i my. Dało się także słyszeć: „A pamiętasz...” Tamci również wspominali walki czterdziestego pierwszego roku o fabrykę „Piszmasz(*)” w Leningradzie. I w ogóle sławała ta: „A pamiętasz...” raz po raz rozbrzmiewały na ulicach, obiegały Berlin, jak echo. W dniu tym pamięć szczególnie chętnie powracała do przeżytych czasów. Tak, nieporównany urok mieścił się w tym, że oto, spacerując pomiędzy zadymionymi, zburzonymi murami Berlina, rozpamiętuje się gorzką sławę pierwszych lat wojny.

Dłużej, niż gdzie indziej, stałem przed bramą Brandenburską. Usiłowałem uświadomić sobie: co mi ona przypomina? Dlaczego, kiedy patrzę na nią, w taki męczący i zarazem rozkoszny sposób ścisła się serce?

Przypominałem sobie: Leningrad, blokada, Narwska brama! Bardzo podobne! Takie same klasyczne kolumny, tak samo wyszczerbione pociskami, takie same potrzaskane rzeźby na wierzchu i wokół plac, tak samo zryty pociskami i bombami, a w samej bramie — taka sama wysoka, potężna barykada. I Niemcy stali tak samo blisko Narwskiej bramy, jak my jeszcze niedawno — Brandenburskiej. Ale Niemcy stali trzy lata, a nasz front — kilka dni. I Niemcy jednak nie doszli do Narwskiej bramy, a my właśnie stoimy i gładzimy rękami kolumny bramy Brandenburskiej i Sawieliew powiada:

— To perła mojej kolekcji.

*) Fabryka maszyn do pisania — uwaga tłum.

Berlin kapitulował o godzinie trzeciej po południu. Poddął się cały garnizon, od szesnastoletniego volkssturmisty poczynając a na generale artylerii Weitlingu kończąc. Zdarzyło mi się czytać w niektórych reportażach, że Weitling w momencie poddawania się do niewoli miał jakoby posępną i złośliwą minę. Niepodobna się z tym zgodzić. Według moich obserwacji — w chwili owej twarz Weitlinga wyrażała głębokie zadowolenie. Tego uczucia zadowolenia — moim zdaniem — doznawał zupełnie szczerze — nie z jakichś tam wysokich pobudek, płynących z zasadniczych przekonań, ani też kierowany zrozumieniem celowości wojskowej, a z racji, którą on sam tak wyjaśnia:

— Chociaż pełniłem funkcję dowódcy obrony Berlina, stosunki w kołach Nowej Kancelarii Rzeszy były tego rodzaju, że po powzięciu przeze mnie decyzji o kapitulacji poczułem się bezpieczny dopiero wtedy, gdy znalazłem się w rękach Rosjan.

Dzień kapitulacji, 2 maja, zaznaczył się nowym łgarstwem Goebbelsa, ostatnim jego łgarstwem. Już niemieccy żołnierze składali broń, już kamienice berlińskie obficie zabielały flagami kapitulacji i na rogu Vosstrasse i Hermann-Goeringstrasse zobaczyłem starego Niemca, który wykrzykiwał, nie zwracając się specjalnie do nikogo, a tak, w przestrzeń:

— O, jak cicho! O, jak cicho! Ile lat nie zaznawaliśmy tej ciszy.

I, wyciągnawszy długą, chudą szyję, stary Niemiec słuchał tej ciszy Berlina, jak ulubionej na wpół zapomnianej muzyki. Pomarszczona jego twarz wyrażała upojenie melomana.

A Goebbels w swojej odezwie, która ukazała się rankiem tego samego 2 maja, pisał, że „bohaterscy obrońcy Berlina skutecznie odpierają ataki Rosjan...”

W kłamstwie faszyzm powstał, w kłamstwie żył i kłamstwem zabrzało jego przedśmiertne rżenie.

W Nowej Kancelarii Rzeszy pośród książek, użytych do barykadowania okien, znajdowało się dość dużo opisów hitlerowskich rabunkowych wypraw. „Zawojowanie Norwegii“, „Ujarzmienie Ukrainy“, „Zwycięstwo w Afryce“. Niemcy wydawali je bogato. Jakaś bandycką napaść na bezbronną Danię przedstawiało się jako nową „Iliadę“.

W książce „Pokonana Polska“ przeczytałem ciekawe motto pióra generała-feldmarszałka Keitla. Niegdyś nazywano Niemcy

krajem filozofów. W faszystowskich Niemczech rolę ich odgrywali oficerowie służby czynnej. Keitel pisał:

„Goethe powiedział, że huk francuskich armat w bitwie pod Valmy zmienił historię świata. Wielki poeta mylił się. Historię świata zmienił huk niemieckich armat we wrześniu 1939 roku“.

Ten aforyzm wojskowego myśliciela dosyć śmiesznie wyglądał w dniu 2 maja wśród ruin zmiażdżonego Berlina.

Jeszcze śmieszniej wyglądał sam autor tego przenikliwego twierdzenia. Zobaczyłem go w kilka dni później tu właśnie, w Berlinie, kiedy chwiejną ręką kładł swój podpis pod aktem o bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

II. JAK ONI KAPITULOWALI?

1.

W nocy na 8 maja otrzymałem papier, który przechowuję jak bezcenną relikwię.

„Okazicielowi niniejszego, pisarzowi Sławinowi L.J. zezwala się przebywać i pracować na lotnisku oraz w salach posiedzeń na przeprowadzanym przez Dowództwo 8 maja 1945 roku przedsięwzięciu szczególnym“.

Takimi delikatnymi zwrotami określone było największe historyczne wydarzenie naszych czasów: akt podpisania kapitulacji Niemiec.

My, grupa korespondentów wojennych, podnieceni zbliżającym się widowiskiem, z samego rana pojechaliśmy na berlińskie lotnisko Tempelhof. Będziemy tam obecni przy spotkaniu z delegacjami Sprzymierzonych. Zobaczymy także przybycie pełnomocników pokonanych Niemiec.

Mieszkaliśmy w okresie tych dni na południowo-wschodnim krańcu Berlina, na przedmieściu Köpenick, w tej jego części, która traci miejski charakter i zmienia się w letniskową osadę na brzegu rzeki Damm. Köpenick należy do tak zwanych dzielnic zewnętrznych Berlina. Przed kilku laty Niemcy, owładnięci manią „kolosalności“, włączyli w obręb wielkiego Berlina czternaście miejscowości podmiejskich, dodając w ten sposób do sześciu i pół tysiąca hektarów starego Berlina jeszcze osiemdziesiąt jeden tysiąc hektarów nowego, dzięki czemu Berlin prześcignął pod względem obszaru Nowy Jork i Londyn, co dało Niemcom nowy powód do samochwalstwa.

Köpenick, podobnie jak niemal wszystkie zewnętrzne dzielnice, nie ucierpiał. Burza wojny przeszła przez Berlin, ominawszy jego przedmieścia. Wiejskie domki tonęły w kwitnących ogrodach. Wąskie uliczki pełne były ludzi. Berlińczycy bezustannie kręcili się tam i z powrotem. Przeważnie — kobiety. Prawie wcale nie wi-

działo się mężczyźni. Czasem — starca albo inwalidę. Wszyscy z koszykami. Przed sklepami żywnościowymi, tak zwanymi Lebensmittel, stały kolejki. Odbywała się tu zorganizowana przez władze radzieckie sprzedaż produktów na kartki. Ten wyraz zadowolenia na twarzach berlińczyków, który nas nie przestawał zdumiewać, wywołany był dwiema arcyważnymi przyczynami: pierwsza — ustały naloty, obstrzały, walki, druga — ukazał się chleb, mięso, cukier i inne dawno niewidziane w Berlinie rzeczy.

Z Danm-Weg skręciliśmy na Berlinerstrasse. Minęliśmy dworzec Śląski, Treptower-Park, stację Neukölln. Przed kilku dniami zaledwie nazwy te były nazwami pól walki, punktów strategicznych, stanowisk ogniowych. Teraz — to spokojne ulice, jeśli naturalnie można nazwać ulicami olbrzymie kłębownisko cegieł, żelastwa i trupów. A jednak i tu mieszkają ludzie w piwnicach i ocalałych schronach.

Zobaczyliśmy olbrzymie murowane hangary, otaczające port powietrzny Tempelhof. Ściany ich zdobią płaskorzeźby, wyobrażające długonogie orły z garbatymi dziobami i zuchwale zadartymi łbami, co upodobnia je raczej do kogutów. Reprezentują lapidarny styl pruskiej rzeźby, charakterystycznej dla sztuki Berlina.

Lawirując między ogromnymi lejami, między szczątkami niemieckich samolotów i ruinami zabudowań, dostaliśmy się wreszcie na betonem i trawnikami pokrytą przestrzeń lotniska. Stało tu kilka wielkich niemieckich samolotów transportowych „Ju-52“, zupełnie całych. Wojska nasze posuwały się tak szybko, że nie zdążyły one odlecieć. Zresztą dokąd? Wszędzie ślady bombardowań lotniczych i ślady walk na ziemi. W tych dniach jeszcze trwały tu zażarte boje.

Jeszcze wcześniej. Upał. W powietrzu mgła. U nas w Moskwie taka pogoda bywa w lipcu. Od betonowych płyt bucha żar jak z pieca. Nieopodał rozmieścić się wygodnie radzieckie myśliwce „Jakowlew“. Dookoła — niewyraźne zarysy Berlina. Mija nas oddział, wyznaczony na wartę honorową. W trawie leży orkiestra. Nudzi się. Zaczyna grać dla własnej rozrywki. Żołnierze tańczą w kręgu. „Lezginka“, „Barynia“, „Katusza“ rozlegają się dźwięcznie pod białawym berlińskim niebem. Na wbitych w ziemię drzewach ledwie poruszają się w słabym wiatyku sztandary — brytyjski, radziecki, amerykański. Czekamy.

O godzinie 12 w południe ukazuje się olbrzymi, srebrzysty „Boeing”. Zniża się. Drgnęliśmy na próżno i przedwcześnie. To przybyli z Moskwy reprezentanci poselstwa amerykańskiego. Kładą się na trawę, lśniąca rumiankami i dmuchawcem i pogrążają się w udrękę oczekiwania.

Za dziesięć drugą, poderwawszy się z ziemi, jak pociski wrzynają się w niebo dwa „Jakowlewy”. Potem jeszcze dwa. I tak — w krótkich odstępach czasu — dziewięć par. Pomknęły na zachód ku Stendal na spotkanie w powietrzu Sprzymierzeńców — ażeby, okrążywszy honorową eskortą ich samoloty, towarzyszyć im do Berlina.

Ołówki reporterów zaczęły biegać po notatnikach. Zapisały: „Major Tiulkin”. Tak brzmi nazwisko lotnika, który poprowadził pościgowce. Tiulkin bił Niemców nad Stalingradem i bił Niemców nad Berlinem. Już nie po raz pierwszy wymienia się obok siebie nazwy tych dwóch miast. I nie po raz ostatni. W Berlinie często wspominamy Stalingrad. Stamtąd właśnie nieprzerwane stopnie zwycięstw wiodły nas ku Berlinowi.

Za siedem drugą — wzbijają się w górę rakiety. Słychać coraz wyraźniej szum motorów. I wkrótce z nieba wynurzają się „Douglasy”, otoczone „Jakowlewymi” i „Spitfire”ami. Po lotnisku rozsypuje się armia operatorów filmowych.

Ze stopni samolotu schodzi główny marszałek lotnictwa sir Arthur W. Tedder, przedstawiciel Naczelnego Dowództwa Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych Sprzymierzonych. Wysoki, szczupły, starszy człowiek, ale o młodzieńczo elastycznej postaci. Zsunęta na bakier furażerka podkreśla jego dziarski wygląd. Urzędowo-uprzejmy uśmiech na jego bladej twarzy przechodzi w wyraz radosnego wzruszenia, kiedy trzech rosyłych chorążych wzniosło chorągwie. Z prawej strony powiewała amerykańska, z lewej angielska, pośrodku radziecka. Stała tu warta honorowa.

Trudno było istotnie w tej chwili opanować radosne podniecenie. Zrozumcie: Rosjanie, Amerykanie, Anglicy ściskają ręce jeden drugiemu, stojąc na ziemi faszystowskiej stolicy, pokonanej przez radzieckie wojska.

To samo radosne podniecenie maluje się na twarzy generała Karla A. Spaatsa, dowódcy lotnictwa strategicznego Stanów Zjednoczonych i admirała sir Harolda Berrou, dowódcy floty wojennej Sprzymierzonych w Europie.

Następnie z samolotów wysiada liczne grono delegacji państw Sprzymierzonych a także korespondenci wojenni — amerykańscy z napisem na piersi „War correspondent“ i angielscy — na epoletach „Pressa“. Rozglądają się naokoło z ciekawością. Wyciągają notatniki. Są przecież, u diabła, w Berlinie, w najbardziej dzisiaj sensacyjnym punkcie kuli ziemskiej!

Sprzymierzeńców spotykają generał armii Sokołowski, komendant Berlina, generał-pułkownik Bierzanin, człowiek o wyrazistej, rzeźkiej twarzy pod bujną czapką siwych włosów, generał-lejtnant Bokow i inni.

Sir Tedder podszedł do mikrofonu i głosem, przerywanym przez wzruszenie, wypowiedział słowa powitania i wdzięczności.

Jednocześnie, w bocznej części lotniska, wylądował jeszcze jeden samolot. Początkowo prawie nikt nie spostrzegł go: całą uwagę pochłaniała scena spotkania Sprzymierzonych. Zorientowawszy się, co to za samolot, kierują się ku niemu. Tak jest! W drzwiach samolotu pokazują się Niemcy.

3.

Schodzą na ziemię, ściśle przestrzegając kolejności, według swoich stopni i szarż. Jako pierwszy — generał-feldmarszałek Wilhelm Keitel, wysuszony, podstarzały, z twarzą ziemisto-szarej barwy. Zapewne od przesiadywania w schronach. I cały on jakiś szary — i mundur, i twarz, i podstrzyżone wąsiki pod haczykowatym nosem. Monokl w prawym oku czyni jego spojrzenie szklanym. Muskuły twarzy napięte. Ogólną niepozorność swojej postaci Keitel usiłuje nadrobić zadarciem głowy, zupełnie jak u tych wyszczerbionych orłów na hangarze Tempelhofu, do których zresztą Keitel podobny jest z haczykowatego nosa i koguciej buty. W lewej ręce Keitel trzyma marszałkowską buławę, krótką laskę z inkrustacjami, przypominającą pałeczkę od hębna. Wychodząc z samolotu, Keitel wykonał przy pomocy swojej buławy jakieś trzy wymachy, zbliżone do produkcji marnego żonglera. Poza tym nieustannie dbał o to, ażeby ta pałka była jak najbardziej widoczna. Jak gdyby mówił: „Widzicie, posiadam marszałkowską buławę, zwróćcie, proszę bardzo, uwagę na to“. Była to ucieleśniona ambicja pruskiego militarysty, cokolwiek zapleśniała w piwnicach.

Zobaczyliśmy dalej generała-pułkownika lotnictwa Stumpfa. Niziutki, gruby, o zupełnie pospolitych typowo niemieckich otluszczonych kształtach — niepewnie oglądał się i mrugał oczyma. Obok niego trzeci przedstawiciel delegacji — żaloszny, jak wymo-

czony śledź, generał-admirał Friedeburg. Za nimi jeszcze dwunastu generałów i oficerów.

Do delegacji niemieckiej zbliżył się jeden z naszych generałów. Rozegrała się w tym momencie ciekawa pod względem psychologicznym scena. Na widok radzieckiego generała Keitel wyduślił z siebie ujmujący salonowy uśmiech i, wykonując okrągłe ruchy powitalne, kłaniając się i zamasyżując szurgając nogami, drobnymi kroczkami podszedł do naszego generała. Za nim, wśród uśmiechów i wymuszonej wytworności, delikatnie przytupując nogami, ruszyła cała niemiecka delegacja.

Nadzieje Keitla były jasne. Chciał zainscenizować spotkanie równych z równymi. To nieważne przecież, że my jesteśmy pokonani, a wy zwycięzcy. My, generałowie, wyciągamy oto do siebie ręce ponad armiami, krajami i wydarzeniami.

Ta cyniczna kalkulacja nie udała się. Generał nasz, obrzuciwszy Niemców rzeczowym spojrzeniem, milczy. Potem wydaje rozkaz straży:

— Tych dwóch (mówiąc to, wskazuje na Keitla i Stumpfa) do tej maszyny, tych trzech — tam, itd.

Keitel zbladł natychmiast. Na twarzy jego odbiła się wściekłość i upokorzenie zarazem — wyraz, który nie ustąpił przez cały dzień 8 maja.

Niemiecka delegacja poszła w kierunku maszyn. Nie odrywając oczu, patrzyłem za nimi. W marszowym szyku, po czterech w szeregu szli równo w nogę — nieprawdopodobny oddział generałów ujarzmionych Niemiec. Nikt ich nie formował w tym porządku, sami go zastosowali, ulegając tej sile musztrowego automatyzmu, która włada każdym Niemcem, bez względu na to czy jest żołnierzem, czy generałem, czy zwyczajnym cywilnym mieszczuchem. Szli pod strażą angielskich oficerów, konwojujących ich przez całą drogę od Flensburga do Berlina.

Odległość między samolotem a autami była nieduża — dwieście metrów, niewielecej. Pięć minut.

Niemcy maszerowali w jakiejś drewnianej sztywności, właściwej wielu niemieckim wojskowym. Szli, podzwaniając ostrogami, rytmicznie tupiąc lakierowanymi butami. Pod nogami ich kłębił się berliński kurz — kurz z niezliczonych ruin, osnuwający Berlin, jak mgła, czerwono-szary, ceglany i wapienny kurz wojny. Maszerowali, wbiwszy oczy w ziemię, czasem tylko, na jedno mgnienie ze złodziejską zręcznością oglądali się na boki i natychmiast znów opuszczali wzrok, żeby nie widzieć pokonanego Berlina. Jako

„prawoskrzydłowy“, w pierwszym szeregu maszerował Keitel, nerwowo ściskając w rękę marszałkowską buławę.

Wiele myśli nasuwał nam widok tego niezwykłego orszaku: i rany Stalingradu, i cierpienia Coventry, i męki Leningradu, i upokorzenia Paryża.

A oni szli, maszerując machinalnie w takt uroczystych, niemal promieniejących triumfem dźwięków marsza, granego na powitanie Sprzymierzeńców. Usadowiwszy się w samochodach, Niemcy czekali chwili odjazdu. I chociaż usiłowali nie patrzeć w kierunku miejsca, gdzie odbywało się spotkanie ze Sprzymierzeńcami, oczy ich i głowy mimowoli odwracały się w tę stronę, gdzie powiewały chorągwie i grzmiała muzyka. Tłum korespondentów, zgromadzonych wokół Niemców, przerzedzał się stopniowo. Zainteresowanie nimi wyczerpało się. Wszystko jest jasne.

Rozpoczął się odjazd z Tempelhofu. Pół setki samochodów osobowych lśniącym sznurem ruszyło poprzez Berlin. Na czele jechali przedstawiciele Armii Czerwonej i Sprzymierzeńców. W ogonie — Niemcy.

4.

Tempelhof mieści się na południu miasta. Karlhorst, cel naszej podróży — we wschodniej części. Przejeżdżamy spory kawał Berlina. Szczególnie interesujący jest widok Berlina dla tych, którzy go jeszcze nie widzieli po naszym zwycięstwie — dla amerykańskich i angielskich delegatów. Gdzieniedzie jeszcze nie ugaszono pożarów. Z niektórych wejść do metro — z niepozornych, standaryzowanych stacyj — wydobywa się dym. Miejscami szyny metro wychodzą na powierzchnię i biegną dalej, podparte żelaznymi słupami, na poziomie czwartego piętra. Z tej nadziemnej linii pozostały tylko fragmenty.

Delegaci niemieccy nie utrzymali się w przybranej na lotnisku pozie monumentalnego spokoju. Przyłgnęli do szyb samochodowych. Widzą olbrzymie zwaliska ruin. Widzą berlińczyków, uprzątających jezdnie z cegieł i gruzu. Oto kilku Niemców grzebie w ruinach sklepu pod firmą „Delikatesy“ i nieustannie wsuwa coś w kieszenie i koszyki. Może w tej chwili generał-feldmarszałek Keitel myśli o swoim niedawno wydanym rozkazie, w którym pisał: „W ewakuowanych dzielnicach Niemiec, zawartych w strefie działań wojennych, żołnierze niemieccy, winni najcięższych przestępstw w stosunku do mienia niemieckich współobywateli... Maruderstwo i przestępstwa wobec własnych niemieckich współoby-

wateli podlegają karaniu najsroższymi środkami. Tylko w wyjątkowych wypadkach nie będzie stosowana kara śmierci."

Jedziemy długą i szeroką Skalitzerstrasse wzdłuż linii miejskiej kolei żelaznej. Biegnie ona nad miastem na wysokości siedmiu metrów. Sznur maszyn długim lakierowanym węzem wije się między jej powalonymi słupami.

Przebywamy wąską, brudną Szprewę mostem, którego Niemcy nie zdążyli wysadzić.

Hertnerstrasse. I tutaj tłumy Niemców zajmują się toaletą swojej rozkruszonej stolicy. Tu i ówdzie podniesieni na duchu właściciele piwiarni usiłują uruchomić neonowe szyldy. Berlińskie mrowisko kipi. Niemcy bezustannie łążą tam i z powrotem. Pośpiesznie zmieniają miejsca zamieszkania, sąsiadów, przyjaciół. Powszechne przetasowanie. Nasze komendantury wojenne na terenie Niemiec zawalone są wzajemnymi niemieckimi donosami.

Nieoczekiwane spotkanie. Długi pochód cudzoziemców, oswobodzonych z hitlerowskich obozów. Barwy wszystkich narodów — jugosłowiańskie, włoskie, francuskie, holenderskie i inne powiewają nad ręcznymi wózkami, nad rowerami, nad wózkami dziecięcymi, w których wyzwoleni wiozą swój dobytek. Na słupie wielojęzyczne napisy ze strzałką orientacyjną: „Do miejsca zbiórki obywateli ZSRR i innych państw“. Delegaci niemieccy odwracają głowy. Na przeciwnej stronie ulicy wielki Murzyn z pocziwą i pogodną, jak u dziecka, twarzą, ujrawszy auto z oficerami radzieckimi, entuzjastycznie macha ręką. Delegaci niemieccy odwracają głowy.

Wjeżdżamy w szeroką Frankfurterallee. Zaczyna się tu najmniej zniszczona część Berlina. Stoi dużo całych domów. Powiewają na nich chorągwie, białe i nawet czerwone, te zresztą z wyraźnymi śladami po tylko co wyprutych swastykach. Z szeroko otwartych okien wychyleni Niemcy gapią się na naszą kolumnę.

Stojący przed studniami ulicznymi w długich kolejkach Niemcy porzucają swoje kolejki, decydują się nawet wzrok oderwać od widoku regulującej ruch kobiety-żołnierza, na którą wybałuszają oczy godzinami — i grupują się wzdłuż chodników na trasie przejazdu naszych maszyn. Daremnie delegaci niemieccy opuszczają głowy, próżno intensywnie wycierają nosy, usiłując zasłonić się chusteczkami przed swoim narodem. Berlińczycy poznali ich. Widać to po raptownym ożywieniu, z jakim zaczynają rozmawiać między sobą i pokazywać jeden drugiemu samochód z niemieckimi pełnomocnikami. Nie powiedziałbym, żeby twarze Niemców wyrażały przy tym smutek. Stale ta sama potulnie przypochlebna mina z domieszką zadowolenia, jakie daje zazwyczaj obserwowanie ciekawego widowiska.

Nie wszyscy jednak wykazują takie zainteresowanie naszą procesją aut. Na murach Berlina istnieje silniejszy magnes: rozkazy komendanta Berlina, generała Bierzanina. Przed nimi tłumy Niemców. Czytają te rozkazy — to jest za słabe określenie. Oni je studiują. Jeden z Niemców ogląda się i, obrzuciwszy Keitla rozżalonym spojrzeniem, znowu zagłębia się w lekturę. Keitel — to przeszłość. Berlińczyka nie interesuje przeszłość Niemiec. Interesuje go ich teraźniejszość i przyszłość. A to tkwi w rosyjskich rozporządzeniach.

Znowu spotkanie. Tym razem idzie długa kolumna jeńców wojennych. Czy dlatego, że Niemcy przyzwyczaili się już do tego widoku, czy też z powodu jakiejś wyłącznie niemieckiej, dla nas mało zrozumiałej, bezduszości — Niemcy nie zwracają żadnej uwagi na swoich rodaków — jeńców. Zauważyłem to zjawisko niejednokrotnie i nie tylko w Berlinie. Od czasu do czasu jakaś gospodyni wyniesie na brzeg chodnika wiadro z wodą i kubek — przeważająca większość traktuje jeńców ze zdumiewającą obojętnością, nawet nie patrzy na nich.

A i jeńcy także nie patrzą na swoich wolnych ziomków i wloką się ze zwieszonymi głowami. Zresztą tu, na Frankfurterallee, wielu jeńców zauważyło maszyny z niemieckimi generałami. Widziałem, jak jeńcy podnosili ręce — nie dla pozdrowienia, ale ruchem gniewnej groźby wobec swoich byłych dowódców. Wywołało to w samochodach niemieckiej delegacji nowy potężny atak „kataru“.

5.

Wjechaliśmy na Altfriedrichsfelde. Jest tu dużo wojskowych radzieckich. Na domach — gościnne napisy WAD-u: „Hotel dla przejeżdżających oficerów“, „Punkt pomocy technicznej“, „Punkt wyżywieniowy“ itp. Jest tu także dużo dzieci. Bawią się na szerokiej ulicy, wysadzonej cienistymi drzewami i pełnej rozbitych czółgów. Dzieci są bardzo rade, że na ulicach ukazały się takie cudowne zabawki, jak zrujnowane domy i spalone „tygrysy“, w których tak znakomicie można się bawić.

W „Pawilonie dla oczekujących“ — na drewnianej rzeźbionej werandzie, jakie WAD-ziści niezwłocznie budują wszędzie tam, gdzie rozwijają swoją działalność — siedzą oficerowie i żołnierze, oczekując okazji samochodowych — jeden do Poczdamu, drugi do Frankfurtu, trzeci do Drezna itd. Młody, rosyjski Kozak posadził sobie na kolanach jasnowłosego malca i huśta go, jak na koniu. Mały Nie-

mieć cieszył się, Kozak także i obaj żywo rozprawiali, posługując się międzynarodowym językiem uśmiechów i ruchów.

Na ulicy tej wznosi się olbrzymi łuk, uwieńczony wizerunkiem Orderu Zwycięstwa. Na frontonie widnieje napis: „Czerwonej Armii — chwała!“ Jest to Łuk Zwycięstwa. Dla Niemców — Łuk Klęski. Przejechaliśmy pod nim.

Potem skręciliśmy na prawo, w Schlosstrasse. Ogrody, parki. Zaraz będzie Karlhorst. To krótkie, typowo niemieckie, zjeżone twardymi spółgłoskami słowo weszło na trwałe do historii.

Dążąc do stworzenia ścisłego i wiernego opowiadania — od ręki, w drodze, zapisuję w swoim notatniku:

„Wjeżdżamy w Karlhorst. Ostatni etap historycznej marszruty. Parny skwar majowego dnia. Wysoki komin fabryczny, wyszczerbiony przez pociski. Dymi jednak. Kwitną ogrody. Pachnie bez. Mijamy sklep żywnościowy. Wychodzi z niego Niemiec. W średnim wieku, w miękkim kapeluszu, okulary w złotej oprawie, dobrze utrzymany. Przyciska czule do piersi chleb, mięso, zawinięte w „Völkischer Beobachter“, torebkę z cukrem. Jeden z amerykańskich korespondentów wyskoczył z samochodu i poprosił Niemca o „Völkischer Beobachter“. Zobaczywszy oficerów radzieckich, Niemiec zdejmując kapelusz ruchem uprzejmym i niepozbowionym pewnej serdeczności. Droga do serca prowadzi przez żołądek. Przynajmniej u Niemców. Na jednym ze skrzyżowań Schlosstrasse patrzę na Keitla. Odwrócił swoją piegową twarz albinosa w prawo. Widzi na murze domu napis, jeden z tych, którymi z rozkazu Goebbelsa smarowano kamienice nawet podczas ostatnich dni berlińskich walk. „Sie wollen leben, also kämpft!“ („Jeżeli chcecie żyć — walczcie!“). Keitel odwrócił się. Jakoś często dzisiaj się odwraca! Patrzy w lewo. Na chodniku stoi grupa barczystych chwatów, z aroganckimi minami, z białymi opaskami uległości na ramionach. Tym razem Keitel nie odwrócił się. Uporczywie wpa-trywał się w grupę, oglądał się...”

Chowam notatnik, ponieważ samochód zatrzymał się. Trzeba wysiadać. Przejechaliśmy.

6.

Przed nami nieduży, dwupiętrowy dom, otoczony ogrodem. Jadalnia berlińskiej Wojennej Szkoły Inżynieryjnej w Karlhorst. Możliwe, że wkrótce fotografię tego budynku dzieci nasze oglądać będą w szkolnych podręcznikach historii.

Delegaci rozeszli się do swoich pokoi. Przy pomocy ekspertów i konsultantów zabrali się do redagowania dokumentu bezwzględnej kapitulacji Niemiec. Dokument jest krótki, ale jego zwycię, ważne sformułowania wymagały pracy całego dnia.

Myśmy także pracowali. Rozsiadłszy się w kuluarach pisaliśmy korespondencje: o Tempelhofie, o początku dnia. Odnosiliśmy je na punkt łączności, znajdujący się obok, w jednym z korpusów Wojennej Szkoły Inżynieryjnej. W przeciągu kilku godzin nasze pierwsze korespondencje ukazały się już w Moskwie.

Istniała bardzo prosta droga komunikacyjna. Na stole w przedpokoju stały dwa aparaty telefoniczne, bezpośrednio połączone z Moskwą przewodem wysokiej częstotliwości. Jeden z korespondentów podniósł słuchawkę i krzyczał, usiłując przekrzyczeć ggieł rozmów i nawoływań, wypełniających korytarz.

— Hallo, mówię z Berlina!... Czyż wy nie wiecie, że dziś ma być podpisana kapitulacja Niemiec?... Fakt! Więc zapamiętajcie, że jestem pierwszym człowiekiem, od którego dowiedzieliście się o tym... Godziny nie wiem, nikt nie wie, to może nastąpić każdej chwili, czekamy... Hallo! Tylko co przybyła francuska delegacja... Tak, trochę się spóźniła... Przechodzi w tej chwili obok mnie. Na czele jej stoi przedstawiciel francuskiej armii generał Delattre de Tassigny... Wysoki, postawny... Zresztą, powierzchowność opiszcie sami według fotografii... Fotografię zaraz wyślemy samolotem... Hallo! Kilka szczegółów o generale Delattre. Uczestnik wojny o Francję w 1940 roku. Wybitnie wyróżnia się spośród wielu francuskich generałów tym, że już wtedy bił Niemców. Bohater tak zwanej „Bitwy o cmentarz“... Zaraz wyjaśnię. W końcu maja 1940 roku wraz ze swoją dywizją bronił przed naporem Niemców dwudziestomilowej przerwy we froncie na rzece Ain. Rozciągały się tam stare cmentarze wojskowe, pochodzące z czasów tamtej wojny światowej. I w rezultacie niemieckie czołgi nie zdołały przeдрzeć się poprzez dywizję Delattre'a i zmuszone były zmienić kierunek... Zrozumiałe?... Rozwińcie to i włączcie do mojej korespondencji... Hallo! Jaka w Moskwie pogoda?... Deszcz?... A tu upał, lato... I bardzo jeść się chce... Owszem, jadalnia jest, ale my obawiamy się odłączyć... Hallo! Zatelefonujcie do mojej żony i powiedzcie, że ją pozdrawiam z Berlina.

Ponieważ nikt nie mógł powiedzieć, kiedy rozpocznie się procedura podpisywania, baliśmy się wyjść z sali. Ale około szóstej już nie wytrzymaaliśmy. Odległość do jadalni wynosiła pięć minut drogi. W pośpiechu przełknawszy obiad, kłusem przybiegliśmy z powrotem. Zawsze to samo: historia czeka. Historia nie zna pośpiechu.

Korespondenci zagraniczni ze skóry wylażą — tak pragnęliby zobaczyć z bliska Berlin. W końcu zdecydowali się i samochodami pojechali do śródmieścia. Ale za pół godziny wrócili: stale ten strach przed spóźnieniem.

Męcząca bezczynność. Wszystko, co zaszło do tej pory — jest już opisane, sfotografowane, nakrecone na taśmę. Operatorzy filmowi ustawili w sali swoje „Jupitery“, sprawozdawcy radiowi — aparaturę do utrwalania dźwięku. Myśmy rozłożyli na naszym stole czyste notatniki, ołówki.

7.

Zmierzcha. Palimy papierosy jeden za drugim, spacerujemy po długim westibulu, rozmawiamy z cudzoziemskimi korespondentami.

Jeden z nich, przedstawiciel amerykańskich towarzystw radiowych, brodaty, wysoki, o powierzchowności romantycznego plantatora, powiada marzycielskim głosem:

— Może teraz nareszcie uda mi się pojechać do Ameryki.

— A dlaczegożby?

— Przecież ja już osiem lat tam nie byłem.

— Czyżby?

— Za każdym razem, ilekroć wybieram się jechać do domu, w Europie coś się wydarza. I za każdym razem urządzają to Niemcy. O, jakże oni naprzykrzyli się już światu! Pomyślcie, ile czasu męczy się z nimi cała planeta. Oni utrudniają życie. Chwała Bogu, dziś wieczorem przyjdzie na nich kres.

W innym kącie niemłody korespondent amerykański rozwija tezę o tym, że Niemcy „nie zmieniają się“.

— Nie wiercie tej uległości zewnętrznej. Na dnie jej tkwi pragnienie odwetu. W moich oczach — to czwarte spotkanie z Niemcami po wojnie i drugie — z Keitlem. Liczcie sami: Pierwsze — 11 listopada 1918 roku w Compiègne. Drugie — 28 maja 1919 roku w Galerii Zwierciadlanej Wersalu. 22 czerwca 1940 roku — znowu w Compiègne...

— A jakże pan tam trafił?

— Tego dnia — odpowiada mrugnąwszy — byłem obywatelem szwajcarskim.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Otóż tam właśnie, w Compiègne — ciągnie dalej — zobaczyłem Keitla po raz pierwszy. To przecież on właśnie podyktował francuskiemu pełnomocnikowi, generałowi Huntzingerowi, warunki hańbiącego dla Francji rozejmu. A teraz on sam znajduje się w sytuacji Huntzingera. Oto los! Tak tutaj, w Karlhorst, na przedmieściu Berlina — następuje moje czwarte spotkanie z Niemcami. Wdziękem swoim przewyższa, naturalnie, wszystkie poprzednie.

— Dlaczego?

— No, oczywiście Niemców zmuszają podpisywać kapitulację w ich własnej stolicy. To jest robota z szykiem! Ale wszystko jedno, oni się nie zmieniają. Widziałem wczoraj, jak wasz Kozak pieścił niemieckie dziecko. Wielu to widziało. No, powiedzmy, takiego małego jeszcze można. Ale wszyscy Niemcy ponad dziesięć lat są beznadziejni. Nie, nie, proszę się ze mną nie spierać.

Później, przejechawszy Elbę, zwiedziłem „amerykańską strefę“ Niemiec i rozmawiałem z wielu amerykańskimi żołnierzami i oficerami.

— Wiem, niektórzy sądzą, że po przegranej wszyscy Niemcy jakimś czarodziejskim sposobem odmienili się — mówił w dalszym ciągu rozmowny dziennikarz — wszyscy, nawet stary Keitel. Akurat mogą pokazać panu jego ostatnią fotografię.

Wyciągnął z kieszeni numer „Völkischer Beobachter“, ten sam, który niedawno na ulicy wziął u Niemca.

— Ten numer nosi datę 20 kwietnia 1945 roku — powiedział. — Czy pan wie, co to za dzień? Dzień urodzin Hitlera! Elegancki prezencik wyszykowaliście mu wtedy: rozpoczęcie berlińskiej operacji. Stanowczo zawiozę tę gazetę do Ameryki. Relikwia! Proszę uprzejmie dżentelmenów o podpisanie się na tej gazecie i o poświadczenie, że istotnie jest wzięta w Berlinie z rąk Niemca, który zużytkował ten świąteczny numer jako papier do pakowania.

Rozłożyliśmy gazetę. O czym pisał „Völkischer Beobachter“ 20 kwietnia 1945 roku, w dniu urodzin Hitlera, na kilka dni przed upadkiem Berlina?

Numer miał dosyć pogrzebowy wygląd. Gazeta zredukowała się do dwóch niedużych stroniczek. Artykuł jej redaktora Alfreda Rosenberga pod tytułem „Dzień urodzin Führera w okresie decydującej bitwy“ swoim kwaśnym i pompatycznym tonem w sposób jaskrawy przeczył optymistycznym łgarstwom komunikatu Kwatery Główniej. Ogromny artykuł Goebbelsa histerycznie nawoływał ludność, żeby nie porzucała Führera na pastwę losu i zapewniał,

że führer także nie opuści „swego narodu“. Akurat w tym miejscu zaczynała się wielka tłusta plama od mięsa. Oprócz tego znaleźliśmy w gazecie pouczenia o sposobach przygotowywania herbaty z liści kapuścianych oraz liczne zawiadomienia o śmierci oficerów i żołnierzy, którzy zginęli na Wschodnim Froncie.

Jedyna ilustracja, zamazana klisza, wyobrażała Hitlera przed szeregiem żołnierzy w asyście trójki: Doenitza, Himmlera i naszego znajomka Keitla — znowu ujrzelśmy tę twarz ze starczymi fałdami, usiłnie nadętą, co miało wyrażać dzielność.

Odgłos kroków zmusił nas do obejrzenia się. Do sali wchodził marszałek Żukow w otoczeniu delegatów. Szybko zajęliśmy swoje miejsca.

8.

Stół prezydium stał na niewielkim podwyższeniu. Były to miejsca Żukowa, Wyszyńskiego, Teddera, Spaats'a, Berrou, Delatre de Tassigny'ego.

Przy długich stołach, ustawionych prostopadłe do stołu prezydium, zasiedli liczni członkowie delegacji i przedstawiciele prasy. Miejsca przy niedużym stole, ustawionym z boku, przygotowanym dla delegacji niemieckiej były jeszcze puste.

Zaskrzypiały na papierze ołówki dziennikarzy. Korespondent nowojorski wskoczył na stół i przebiegł po nim w ciężkich sportowych buciorach. Fotoreporterzy wspinali się na parapety okienne, na krzesła.

Patrzyłem na Żukowa, w jego mocną twarz, wyrażającą wolę i energię i myślałem o jego kolejach życiowych. Miałem szczęście widzieć go w różnych latach i zawsze — w momentach decydujących zwycięstw. Wspomniałem Żukowa, kierującego hitwą na trawiastych wzgórzach Hanhyl-gon w 1939 roku, na dymiących barykadach Leningradu w 1941 roku, a trochę później — w podmoskiewskich lasach, na śnieżnych rubieżach pod stolicą i wreszcie na długiej, chwalebnej drodze od Warszawy do Berlina, gdzie, jak i w poprzednich operacjach pod genialnym przewodnictwem Stalina, bił, gromił i pędził wroga.

Żukow powstał i w krótkich, zwartych słowach wyjaśnił cel tego zebrania: przyjęcie bezwzględnej kapitulacji od dowództwa sił zbrojnych Niemiec.

Następnie wprowadzono delegację niemiecką.

W drzwiach ukazał się Keitel. Znowu wykonał kilka żonglerskich wymachów swoją buławą marszałkowską i rozsiadł się na krzeselku, mając po prawej ręce Stumpfa, a po lewej Friedeburga. Pozostałych dwunastu członków niemieckiej delegacji stanęło za ich plecami.

Na żądanie Żukowa — Keitel przedstawił dokument, upoważniający delegację niemiecką do podpisania aktu kapitulacji.

Od prezydialnego stołu dokument ten przeszedł do rąk korespondentów. Oglądamy go z zainteresowaniem. To — niewielki papierek, podpisany przez gross-admirała Doenitza. W narożnym stemplu — ciekawa poprawka. Pod wierszem: „Dowództwo Naczelne“ przekreślone atramentem słowo: „Berlin“ i ręką pośpiesznie napisane: „Kwatera Główna“. Ta „kwatery główna“ tak szybko uciekała, że nie zdążyła wydrukować na swój użytek nowych blankietów.

Niemieccy delegaci nie mieli dużej okazji do zabierania głosu. Przedstawiciele zmiażdżonych Niemiec pojawili się tu wyłącznie dla jednego celu: dla podpisania bezwarunkowej kapitulacji.

Ale Keitel miał chęć pokazać, co umie. Wśród elity hitlerowskiej zawsze panowała pasja do teatralnych gestów i górnołotnych zwrotów.

Podczas, gdy czytano i przekładano punkty aktu kapitulacji wojennej, Keitel bezustannie przybierał rozmaite pozy. Twarz jego i cała postać wyrażały przeróżne akcenty wyniosłości. Siedział na krześle, jak na koniu, ująwszy się pod boki i usiłował wzmocnić to wrażenie przy pomocy komicznych, uroczystych manipulacji, wykonywanych marszałkowską buławą: to wspierał się na niej, jak na berle, to z głośnym brzękiem uderzał nią o stół, to znów z pyszałkowatą miną składał na niej włochate ręce. W doskonałym filmie dokumentalnym „Berlin“, brak, niestety, tych licznych i bardzo wymownych momentów, kiedy z Keitla opadała ta niezgorzej zużyta, stoczona przez moje maska zarozumiałości i obnażała się prawdziwa jego spłoszona i wystraszona fizjognomia.

Sąsiedzi Keitla zachowywali się naturalniej. Twarz generał-pułkownika Stumpfa, przedstawiciela sił powietrznych Niemiec, grubasa o powierzchowności zatytego rzeźnika, wyrażała potulną nudę. Generał-admirał von Friedeburg, dowódca marynarki wojennej, nie miec, wyglądał, jak uosobienie zakłopotania i wstydu.

Chwilami wszyscy trzej, zsuniawszy głowy, kłócili się między sobą. Stumpf coś szeptał do Keitla, patrząc w niego nienawistnym spojrzeniem; wyglądało, jak gdyby mówił: „Co pan za głupstwa plecacie? Niech pan podpisuje! Także znalazł pan porę odpowiednią do pytlowania językiem...“

Po to, ażeby podpisać akt kapitulacyjny, delegaci niemieccy musieli przebyć połowę sali i podejść do stołu, znajdującego się tuż obok prezydium.

Keitel wziął pióro. Rozległo się ciche trzaskanie aparatów fotograficznych. Długo czekaliśmy na tę chwilę. Obrócone były w gruzy setki miast, spustoszone kwitnące kraje, zabito miliony ludzi i rosyjski naród zdobył się na rozwinięcie wszystkich swoich tytanicznych sił — po to, ażeby w końcu Niemcy zostały powalone i żeby ten człowiek, reprezentujący siły zbrojne Niemiec, napisał swoje nazwisko na leżącej przed nim kartce papieru.

Procedura podpisania aktu ciągnęła się dosyć długo, ponieważ trzeba było przepisać dużo arkuszy w rozmaitych językach. Keitel nie korzystał z przyborów do pisania, leżących na stole, pisał własnym wiecznym piórem. Nie przeszkodziło to zresztą następnie jednemu z korespondentów zawładnąć kałamarzem, jak się sam wyraził, „na pamiątkę“. Wszystko w tej sali miało wartość relukwii, wszystko dyszało historią.

I oto akt podpisany. Marszałek Żukow zakończył ten niepospolity dzień słowami:

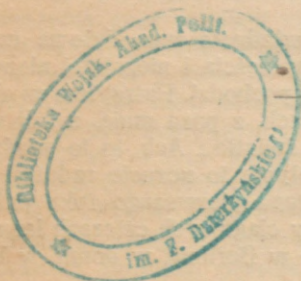
— Delegacja niemiecka może odejść.

Delegaci niemieccy stoczyli się w drzwiach, znowu zobaczyliśmy naprzykrzoną zabawę marszałkowskim berłem — i Niemcy znikli w berlińskiej nocy. Tupiąc po żołniersku, udali się pod eskortą do swego pomieszczenia.

Stałem w otwartym oknie. Owładnęło mną dziwne uczucie — jakaś przejmująca mieszanina szczęścia i niepojętej niezwykłości. Nie mogłem zrozumieć, skąd to pochodzi. Patrzyłem w okno i widziałem gwiazdy, światła w domach, z poza mnie, z sali wylewały się na ulicę oślepiające potoki światła... Ach, to to właśnie! Nie ma już zaciemnienia! Oto skąd płynie to uczucie radości! Po raz pierwszy od czerwca czterdziestego pierwszego roku patrzę z oświetlonego okna w noc. Ile razy w ciągu tych czterech lat marzyłem o tej chwili! I oto przyszła — w Berlinie, w domu, w którym tylko co poddały się Niemcy.

SPIS RZECZY

	str.
Rozdział I	
Berlin od wewnątrz	3
Rozdział II	
Jak oni kapitulowali?	29



BIBLIOT

BROSZUR



31018/1

- Exposé Ministra Obrony Narodowej 2 I. 1945 r.
Generał broni Rola-Żymierski (życiorys).
Odbudowa gospodarcza Nowej Polski, sprawozdanie
Min. Przemysłu.
Powstanie w Warszawie, fakty i dokumenty.
O ziemię polskie na zachodzie.
Demokracja i reakcja w powstaniach narodowych.
Zamachy niemieckie na byt Polski (tabl. historyczne).
Zgubność kierunku wschodniego w dziejach Polski
przedrozbiorowej (tabl. histor.).
Ziemię polskie na zachodzie.
Sanacja winowajcą klęski wrześnieowej.
Nowa karta dziejów Polski.
Słowniczek polityczny dla żołnierzy.
Polegli w walce o Polskę, Wolność i Lud.
O kartelach, koncernach i trustach.
Wł. Brus. Urojenia i rzeczywistość.
Stronnictwo Ludowe a Polskie Stronnictwo Ludowe.
Dwa przemówienia.
Klasa robotnicza — czołowy oddział narodu.
Przemówienia powitalne.
Armia, która przyniosła nam Wolność.
Tadeusz Kościuszko — w 200-ną rocznicę urodzin.